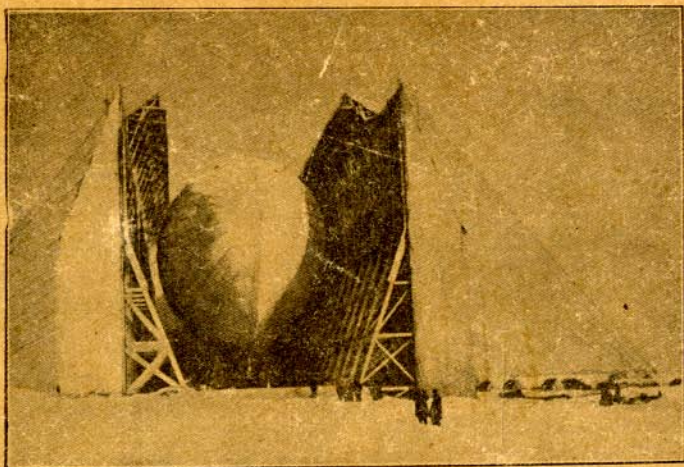


MACIEJ WIERZBIŃSKI

# MALMGRENA MIŁOŚĆ I KONIEC.



„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej

1931

MACIEJ WIERZBIŃSKI

# MALMGRENA MIŁOŚĆ I KONIEC.

*OBRAZY Z ŻYCIA BOHATERA.*



„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej

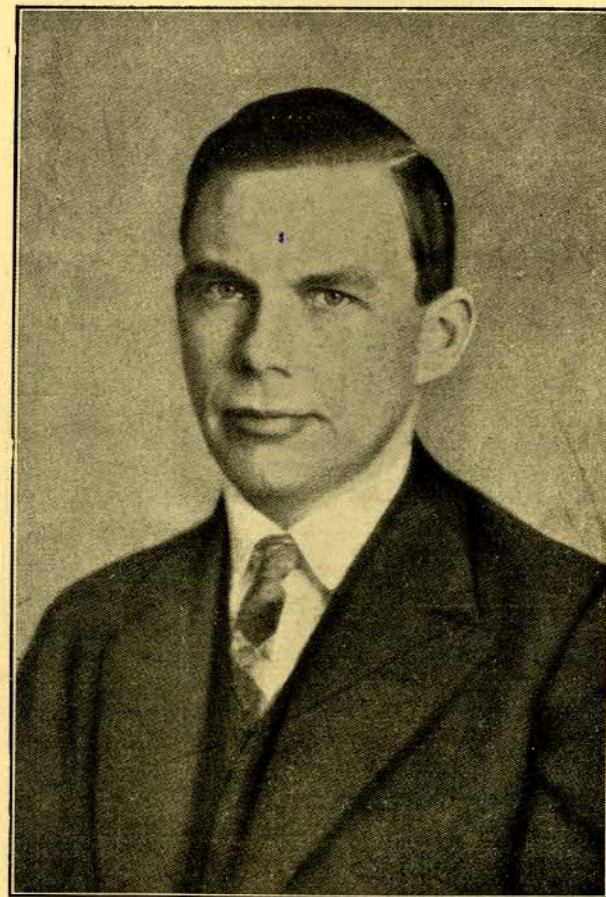
1 9 3 1



BIBL. GŁÓWNA



71365



Finn Malmgren.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

K-22/77 | 77716



I.

FAREWELL.

Białe lazury niebios przeglądały się w Bałtyku, a senliwe jego wody, w jedną z niemi złączone kolorystyczną symfonię, wzdychały całą pierś ku wyżynom, wydzielając tumany jasnopopielatych mgieł. Lotne te gazy przysłaniały odrzewione wysepki: — „szchery”, zwiastujące żeglarzom brzeg szwedzki, i opadały rosą na seledynowe zbocza płaskowzgórza.

Szybkimi, sążnistymi krokami piął się na nie stromą, kamienną ścieżką młody mężczyzna średniego wzrostu, w okularach, z wygolonym otwartym obliczem pergaminowem przyrodnika w wichrach hartowanego, w kubraku i w skórzanej czapce, jak łuska szczerze powlekającej głowę. Rzekłbyś, z twarzy dobrotliwy kmieć słowiański, aczkolwiek prostopadła fałda na czole pomiędzy brwiami nadawała tej fizjonomji wyraz energii i determinacji.

Był to Finn Malmgren \*).

---

\*) Dr. fil. Finn Malmgren, urodzony w Halum (Szwecja) w r. 1898, meteorolog, docent uniwersytetu w Upsali. Brał on



Zdązał z pobraża do dużego sioła, znaczącego się śpiczastą wieżą kościoła na równinie płaskowzgórza, podpartego skałami i lamowanego kobiercami wrzosowisk, pękami ostrzycy, żarnowca i szyszkowatemi stożkami jałowca. Do rodzinnego swego Halum.

Ciężkie, gwoździami podbite buty turystyczne stuknęły o kamyki i to jedynie przerywało sielską, melancholji pełną ciszę pustkowie, gdy z poza grupy krzewów kolczastych wytrystął młody głos niewieści:

— Otóż jesteś!

Wynurzyła się na szczyt ścieżki postać młodej kobiety w ciemnej salopie bez rękawów, z baszłykiem, sterczącym stożkowato nad biało-blond włosami. Na marmurowo białej twarzy kwitły niezapomniankowe oczy, a z głębi ich wybiegała do przybysza radość.

Wyciągnęła do niego obie ręce, a on ukrył je w dłoniach i zanurzył się spojrzeniem w przezroczystej toni źrenic swej towarzyszki lat dziecięcych, swej przyjaciółki i narzeczonej.

Nie rzekł ani słowa. Zdało się, że przybył ze stolicy wyłącznie po to, aby ujrzeć ukochaną myśli swych i rojeń powiernicę, aby skąpać się w promieniach tkliwego spojrzenia, utonąć jaźnią w morzu głę-

---

po raz pierwszy udział w wyprawie naukowej do bieguna północnego w r. 1926 na aerostatkę Norge, zbudowaną przez Nobilego, pod przewodnictwem sławnego odkrywcy bieguna południowego Raolda Amundsena, który, jak powszechnie wiadomo, zginął ostatecznie tragiczną śmiercią, wyruszywszy na ratunek rozbitków z „Italii“.

bokich jej uczuć. Może pragnął chwili niepamięci i wypoczynku, niby na murawie rajskiego zacisza, może chciał zaczerpnąć sił z tego zwierciadła swej duszy i skupić ducha do wielkiego lotu — w wielkie marzenie.

W tej chwili ta dziewczyna, dla której profesor Malmgren nie miał sekretu, zastępowała mu matkę, bliskich i dalekich, wszystkich ludzi i rodzinny zakątek wiejski — cały świat i wszystko, co go wiązało ze światem.

Milczał, zawsze w słowa skąpy, i patrzył w nią niby w swój luby wirydarzyk utajony. A ona mówiła:

— Wiedziałam, że przybędziesz. Czekalam na ciebie, Finn, od trzech dni co rano i wieczór. Na tej ścieżce, którą odprowadzałam cię tyle razy, gdy po wakacjach wyjeżdżałeś do Stokholmu na studia... Nie pisałeś ostatnio, ale ja wiem wszystko z gazet. Jedziesz... Kiedy?

— Pojutrze.

— Już! — przeraziła się i padło na nią milczenie, jakby pod wrażeniem strasznego, nieodwołalnego wyroku.

— Dokąd? — wyszeptęła.

— Wpierw do Medjolanu. A potem...

Długie, jęklive westchnienie wyrwało się z piersi Szarloty.

— Gdybyż to z Amundsensem!... Nie dziwiłoby mnie to ani przerażało. Ale z jakimś synem południa...

— Był Amundsena pilotem.



— Pilotem! Nieudolnym pilotem, jak sam opowiadałeś mi wonczas. Finn, czyż to dosyć, aby obejmować komendę nad taką wyprawą i brać na siebie życie ludzi?... On zwerbował sobie samych Włochów. Ty jeden z naszych zaciągasz się w tę garść lekkomyślnych dyletantów!

— Potrzebują mnie.

— Oh, z pewnością potrzebują wiedzy takiego profesora, doświadczenia świetnego podróżnika, wytrzymałości białego Eskimosa, potrzebują stali twego skandynawskiego hartu... Finn drogi, — zdrzętała trwożliwie struna tkliwości — czyliż nie możesz zachować się na inną, rozumniejszą wyprawę?...

On odwrócił oczy hen na omglone przestworza morza.

— Cóż mówić?... — bąknął, jakby pytając się, czy w tym wypadku trzeba posługiwać się mową, i ciągnął dalej: — Odkąd miałem lat dziesięć, wisiała nad mem łóżkiem podobizna Nansena, później także Amundsen i Scotta. Pamiętasz?... Na nich patrzałem w dzień i o nich śniłem nocą. Oni mnie wzięli w niewolę, prowadzili przez młodość, przykładem swym zagrzewali, wytoczyli mi ślad i cel życia. Z tej drogi nie potrafiłbym cofnąć się ani o krok.

— Czyż ja tego pragnę?! Nie, nigdy. Ale proszę cię, abys teraz, w tym wypadku, wyrzekł się lotu z amatorami, żadnymi oklasków i sławy, którzy nie wiedzą, co czynią... Błagam cię, abys zatrzymał się na swej drodze wzwyż i spoczął w naszym zaświeciu, w naszym dobrem Halum.

Malmgren ujął znów jej rękę.

— Szarloto droga, spocznię tu i pójdę z tobą zaraz do pastora, skoro tylko wrócę... od biegun. Wierny jestem tobie, Szarloto, lecz przedewszystkiem muszę być wiernym sobie.

— Najdroższy, ja wiem, że ty więcej ode mnie kochasz ów biegun lodowaty, że żadna kobieta, żadna miłość, żaden czar nie wyrwie z twej duszy tej miłości niepoznanego. Że nie dokazałyby tego owoc lotosu... Dawno pogodziłam się z tem i rozumiem, że takim, jak ty, winien być prawdziwy mężczyzna... Kocham cię dlatego stokroć więcej, bo wielbię w tobie męskość i korzę się przed twoją wielkością... Ale błagam cię ten jeden raz: zostań! Nie hańbą to będzie dla ciebie, jeśli nie jest hańbą dla samego Amundseny...

Przycisnął ją do siebie, czując łyzy w jej głosie, lecz zwiesił głowę pod ciężarem tego ważkiego jej argumentu. A ona uwisała ramionami u jego szyi i krępowała go bluszczami wyznań, lęków i błagań.

— Nie powstrzymywałam cię, gdy dwa lata temu miałeś z Amundsenem lecieć w arktyczne strefy. Przeciwnie. Duma i radość rozpierały mnie na myśl, że szybujesz tam, gdzie orzeł się nie waży, gdzie myśl moja słaba nie sięga, że ruszasz na zdobycz krain zamkniętych przez przyrodę dla człowieka i wzbijasz się na szczyty męstwa, wielkości i sławy. Ale teraz drżę o ciebie. Nocą pokutują nade mną obawy, niby nietoperze, a z rana rozsądek buntuje się przeciwko temu... Finn, przecież Nobile posiada



aerostatek sześć razy za mały! I to statek tylko napoły sztywny, a zatem za słaby, aby stawić czoło huraganom polarnym — wytykała erudytką ze zgrozą. — Snadź ci naiwni dyletanci poczytują to li tylko za brawurową wycieczkę po laury! Za turniej, za zabawę!

Profesor potrząsł głową.

— Horoskopy wietrzne są jak najlepsze.

— Ale czyż oni potrafią skorzystać sprężycie z okresu atmosferycznie korzystnego? Ja wątpię nawet, czy ci amatorscy podróżnicy umieją dokonywać należycie pomiarów wietrznych.

— Ja im pomogę.

— Ty! Ty jeden masz być głową i duszą lekomyślniej tej wyprawy. Ty jeden traktujesz to nie jako szczebel do sławy, lecz jako wielką pracę dla nauki i krok do istotnego zdobycia bieguna zmierzający. Ty jeden, pionier nauki i postępu, chcesz ofiarnym mozołem torować drogę tym, co kiedyś (jak Nobile pragnie już teraz] niewcześnie) podejmować będą loty niemal spacerowe nad biegunami!... My, Finn, wierzymy w to oboje, a oni?... Nie, najdroższy, ty nie polecisz z nimi!

Finn nie replikował, nie zbijał jej krytyki tej wyprawy. Mógł być dorzucić do tego niejedno, wskazać jeszcze na inne niedomagania i słabe strony tej karkołomnej imprezy. W siebie zapatrzony, zdawał sobie jasno sprawę z tego, że liczy na arcykorzystny stan atmosferyczny i — daje się ponieść uczuciu.

Stroskana kobieta zaś błagała jeszcze:

— Zostaniesz tym razem z nami, ze mną i swą matką... Uczynisz to dla nas, oddanych ci kobiet, dla siebie i dla Amundsena... Nie mamy cię na stracenie i nie ma na stracenie Szwecja, nauka, ludzkość...

Malmgren westchnął.

— Droga Szarloto, — począł spowiedź dla niej jednej przeznaczoną — kto, jak ja, zapuścił się w zakazane te światy śniegów i lodów, wstąpił w krainę białej śmierci, spojrział w jej boskie oblicze, odczuł czarującą wielkość kosmosu, ten wyszedł poza ramy szarego mrowiska ludzkiego, zerwał najintymniejszą nić, łączącą go z życia tego jarmarkiem, bo stanął na krawędzi między życiem a śmiercią, ujrzał zaświaty, jakie człowiekowi dane jest za życia oglądać jedynie, jeśli znajdzie w sobie złoty klucz nadludzkiej, zenitowej woli i tytanicznej energii... Mówisz mi: Amundsen zostaje! Tak, zostaje. Lecz mnie się zdaje, że zostaje tylko z tej prostej przyczyny, że Nobile sam pragnie dla siebie tytułu zdobywcy bieguna. Niestety, Amundsen, zwaśniony z Nobilem, zostaje, lecz czyż nie zazdrości nam w duszy? Przecież on tęskni do bieguna jak Peri do rajy...

Podniosła się w nim fala najcudniejszej tęsknoty.

— My, podróżnicy arktyczni, — ciągnął — jesteśmy jak owe anioły, wypędzone z rajy, co u wrót jego śnią o nim w wieczystym żalu... Niema dla nas w świecie ludzkim nic, co by mogło odwieść naszą myśl tęskną od tej krainy białego marzenia, zwiąć z duszy wspomnienie tego, co znamy, i wyrwać z nas żądze niepoznanego, — co by mogło rozprężyć mu-



skuły ducha, napięte do ogromnego czynu... Pokutujemy za zuchwałość... Padł na nas czar, zaprzędaliśmy się wielkiemu zagadnieniu i opętał nas sen o potędze... — wyznał szeptem, wyjął z krypty swej zacichłej, jakby milczeniem lodowców objętej duszy.

Zeszli kilka kroków po ścieżce i usiedli na dużym, krągłym głazie. Szarlota, smętną rezygnacją owiana, zapatrzyła się na rozłogi wód bezkresnych i wyrzekła zcicha:

— Znów masz odjeżdżać tak daleko, na kraniec świata, iść na takie boje straszne...

— Walka jest atrybutem wszelakiego życia. Tam, na kontynencie, narody gryzą się między sobą jak psy; my, zdala od ich nikczemnych zatargów i walk krwawych, staczamy wielkie, szlachetne boje z przyrodą.

— Oh, Finn, znów masz się wystawiać na takie udreki, na grozę orkanów wściekłych!...

— Udreki!... — podjął Malmgren zcicha i ciągnął: — Był, jak ci wiadomo, pewien filozof grecki, który twierdził, że kierowniczym motywem poczynań i dążeń ludzkich jest pragnienie przyjemności. Zaprawdę, ja nie modelowałem się na wzór hedonistów przyziemnych, nie używałem życia w zwykłym tego słowa znaczeniu. Niemniej jednak wyznam ci, że ja lecę do bieguna po... najwyższą radość, jaką sobie mogę pomyśleć... Lecę tam przez udreki i zgrozę, aby, wyzywając przeciwko sobie wraże moce brutalnej, okrutnej przyrody, uprzytomnić sobie w całej pełni, że żyję, że jestem duchem, — by poznać swe-

go ducha mocarność, — by zmierzyć się oko w oko z kosmosem i przydeptać go imperatorską stopą człowieka... A więc lecę po to, aby zakiepić w radości triumfatora i w zachwycie nad sobą... Szarlota droga, ja lecę tam, by z pogardą dla motłochu i jego targowiska na zaziemskich szlakach zrehabilitować człowieka przed nim samym, — by wzbić się nad małości i podłości życia ludzkiego i zamienić człowieka w orła, zwycięzcę i monarchę tej planety... Dumny cel, cudny sen. Dla takiego celu jedynie warto żyć... Bo życie piękne poczyna się dopiero tam, gdzie kończy się nikczemny świat żądz, gdzie kończy Sansara... Droga moja, ja lecę tam, by rozmawiać z Bogiem...

Lazurowe milczenie wisało nad dwojgiem tych zaświatowych istot, jakby w jedną zaklętych gwiazd.

— Więc ty musisz...? — spadł szept z warg przejętej do głębi kobiety.

— Muszę. Takie jest moje przeznaczenie życiowe...

Szarlota westchnęła.

— A nosisz swój pierścień pamiątkowy? — spytała raptem, z niepokojem w głosie.

— Noszę, lecz to nie talizman. To memento mori i upomnienie. Kto z uczestników wyprawy otrzymał od Amundsena taki pierścień, pasowany był przez to na rycerza strefy podbiegunowej. A pierścień ten zobowiązuje go do braterskiej towarzyskości polarnej i niezłomnego hartu ducha.



To mówiąc, Malmgren podniósł prawicę i pokazał znany jej, gruby, złoty pierścień z emblematem na malachicie.

— Zaślubiony jestem przez to z biegunem... Skoro wrócę, włożę ślubną obrączkę od ciebie. Jeśli zaś nie... otrzymasz tę pamiątkę po mnie...

Łzy szkliły się w oczach cichej, w przeznaczenie jego zapatrzonenej kobiety, jakby uwięźle w nich brylanty. Na ostatnie jego słowa chwycił ją skurcz bolesny.

Złamana uwiła na jego piersi i spleli się w długim uścisku skończonej, podniebnej harmonji.

Takim było ich pożegnanie.

Malmgren nie poszedł z nią w kolisko dawnych znajomych i krewnych, gdyż w niej spotkał i ujrzał uosobienie tego, co łączyło go z ludźmi. Wziął ją jeszcze w ramiona z szeptem ekstazy:

— Duszo moja...

A ona ułożyła dłonie na jego głowie i raz jeszcze spojrziała w wyrazistą twarz bohatera.

— Bóg z tobą!

Po chwili sunął serpentynową ścieżką wdół ku wybrzeżu. Postać jego ginęła na zakręcie za głazami i krzewami i znów ukazywała się coraz mniejsza i dalsza.

Zatrzymał się na moment, odwrócił ku niej, wznosił ramię wysoko niby sztandar.

— Farewell!... Żegnaj, witeziu! — pofrunęło z trzewi serca dziewczyny w dal jakby błogosławieństwo.

Wskoczywszy na opokę, Szarlota biegła za nim łzawem spojrzaniem. Cała jej miłość, całe uwielbienie szybowało w jego ślady, a cała istota zawołała: stój!

Bo, gdy przepadł pod ścianą skał, strasznym zgrzytem przeszło ją przecucie, że nie ujrzy go już nigdy.

Ukryła twarz w dłoniach i na piedestale głazu zdała się posągiem Szwecji, w bezmiernym żalu żegnającej chrobrego syna-straceńca, idącego na śmierć ofiarną dla nauki, dla ludzkości...

## II.

### W ZATOCE KRÓLEWSKIEJ.

Na tle bieluteńkich, miękkich gór lodowych Szpicbergu \*) stał Malmgrem nad zatoką bladoniebieskiego, spokojnego jak jezioro morza i przez lornetę

\*) Grupa wysp Szpicberg, albo Szpicbergen (po norwesku Spitsbergen), położona na północ od Norwegji i wysepek Niedźwiedzi, pomiędzy 75 a 80 stopniem szerokości geograficznej, na morzu Grenlandzkim, obejmuje przeszło 66 tysięcy kilometrów kwadratowych, a nie posiada stałych mieszkańców. Długo nazywano ją „krajem bez pana" (no man's land). Dopiero w r. 1921 przyznano go Norwegji. Znany już dawno wikingom, Szpicberg ze względu na połów wielorybów był przedmiotem walki między Holendrami a Anglikami trzysta lat temu. Osady naonczas utworzone nie przenosiły kilkuset mieszkańców. Zdżiesiątkowane przez skorbut wymarły i znikły.



przyglądał się pięknemu okrętowi, zbliżającemu się do Kingsbay \*).

Wody morza Grenlandzkiego, o tej porze roku dzięki sąsiedztwu prądu Zatokowego (Golfströmu) wolne zwykle od lodów, pozwalając na swobodną żeglugę, przyciągają latem wspaniałe parostatki turystyczne i pływające pałace milionerów.

Otóż jeden z nich, minawszy wspaniałą ścianę skał lodowych, lamujących brzegi tego kraju hen na północ, nadjeżdżał biały jak łabędź, zapewne aby urzeć dumną „Italję” i wzlot jej w krainę białej śmierci — do bieguna północnego.

„Italja” wylądowała tam dnia 6 maja 1928 i spoczywała między dwoma ścianami hangaru, wzniesionego przez Amundsena dwa lata przedtem.

Był to półsftywny statek napowietrzny, 25 m. wysoki a 115 m. długi, pojemności gazowej 1900 metrów kub. Posiadał 4 gondole, trzy motory o sile 240 P. S. i olbrzymie tanki benzynowe pojemności 8 tonn, co umożliwiało mu blisko 75-godzinną żeglugę bez przerwy.

W podróży swej z Włoch „Italja” przeszła ciężką próbę, w sposób budzący poważne obawy. Wyruszywszy z Medjolanu dnia 5 kwietnia wśród entuzjazmu nieprzeliczonych tłumów, poza granicami Włoch

---

\*) Kingsbay (Zatoka Królewska), jedyna osada na Szpicbergu, nie liczy więcej nad 1000 mieszkańców, przeważnie wyjeżdżających na zimę. W tem jest 200 górników, wydobywających węgiel z głębokości 400 metrów.

dostaje się w sztorm i przeżywa pierwsze godziny niepokoju i troski. Radjo napróżno stara się o połączenie, a pytanie: „gdzie jesteście?” targa nerwami załogi. Okazuje się zaś, że nikt nie sprostął wymaganiom chwili. Generał Umberto Nobile i oficerowie są bezradni, załoga przygnębiona.

Na szczęście, „Italja” odzyskuje orientację i leci w kierunku północnym, na Stolp (Słupsk, w Pomera-nji), gdzie po wielogodzinnem manewrowaniu ląduje d. 16 kwietnia, a poddaje się reparacjom przez dwa tygodnie. Wreszcie 2 maja wzbija się znów w powietrze. Znów porywa ją cyklon i pędzi ponad Finlandją, aż do stacji Vadsö, gdzie też ląduje z pomocą żołnierzy norweskich.

Tymczasem włoski okręt-matka „Citta di Milano” donosi przez radjo, że jest w drodze na Szpicberg. Później „Italja” będzie z nim w codziennej komunikacji radjotelegraficznej. Opuściwszy Vadsö d. 4 maja, „Italja”, po uciążliwym zmaganiu się z przeciwnymi wiatrami, dostaje się do Kingsbay, przebywszy 1000 kilometrów w piętnaście godzin. Od bieguna północnego dzieli ją 1350 kilometrów.

Nie pierwszy raz stapał Malmgren po tej lodem pokrytej ziemi. Dwa lata temu poznał ją jako meteorolog przyłączony do wyprawy Amundsena i wówczas poznał Nobilego, który jako pilot statku „Norge” nie zdobył sobie osobliwych wawrzynów. Mimo to we Włoszech przyjmowano go z entuzjazmem jako bohaterę i promowano na generała, co rozbudziło jego ambicje i natchnęło go do podjęcia samodzielnie



wyprawy włoskiej do tak długo tajemnicą osłoniętej krainy lodów i śniegów, niezachodzącego słońca i kilkomiesięcznej nocy.

Malmgren znał ten krajobraz, tę nieskażoną białość, lecz Zatoka Królewska trochę inny przedstawiała teraz widok, aniżeli przed dwoma laty. Wówczas była niemal całkiem wyludniona, teraz zaś podjęto na nowo kopanie węgla i w ciemnych prymitywnych domkach drewnianych w pobliżu gór mieszkali górnicy z Norwegii. Dlatego nie było tam pomieszczenia dla załogi „Italji”.

Gdzieś opodal domków sterczały maszty anteny wielkiej stacji radjotelegraficznej, łączącej tę daleką, niegościnną wyspę ze światem. A rozmiarami swemi wyrastał z senliwego, nikłego osiedla hangar, oskrzydający „Italję”.

Na wybrzeżu Malmgren napotkał Skandynawczyka w futrem podbitych skórkach, który, rozpoznając po jego fizjognomji rodaka, ozwał się do niego:

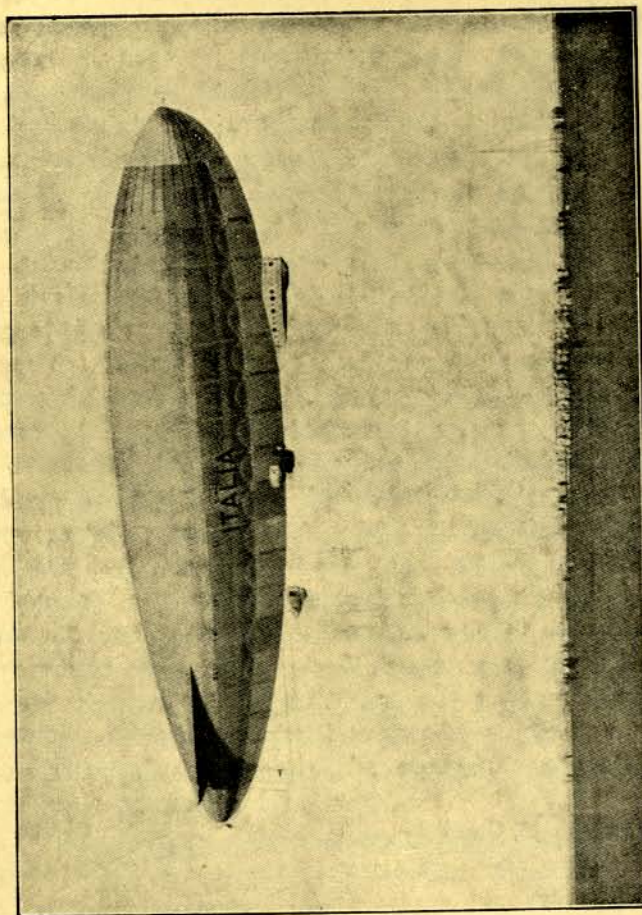
— Czy pan także należy do załogi tego włoskiego okrętu?

— Tak jest.

— Jeszcze jeden, tym razem Włoch, zdobywa zdobyty biegun.

— Zdobyty, lecz jeszcze całkiem niedostatecznie zbadany.

— Był Byrd, potem Amundsen. Ten aż dwa razy próbował się dostać do celu — pokiwał głową łowiec niedźwiedzi.



„Italja” nad lotniskiem pod Rzymem.





— W pierwszej podróży swej Amundsen musiał wylądować 250 kilometrów od bieguna, bo nie starczyło mu paliwa. Trzeba było przez kilka tygodni przygotowywać teren do startu. Amundsen i pięciu jego towarzyszy niemal cudem uniknęli pewnej śmierci. Nie posiadali bowiem ani dosyć żywności, ani rekwizytów koniecznych do dłuższego pobytu na lodowcach. A nie mogli wezwać pomocy przez radio.

Tak opowiadał Malmgren rodakowi, jednemu z tych podbiegunowych myśliwych, co miesiącami i latami tułają się samotnie po Szpicbergu i polują na niedźwiedzie, na lisy białe i niebieskie, na foki, tudzież na renifery, które, gdzieindziej ułaskawione, tu pozostały w dzikim stanie.

Łowcy ci, często mizantropją dotknięci, przedstawiają grono oryginalnych osobników. Odznaczają się żelazną muskulaturą i iście spartańską, skrajną prostotą obyczajów. Zimują przy temperaturze 50° Celsjusza, a wróciwszy do Skandynawji z bogatym łupem, wnet ulegają znów namiętności i wyjeżdżają zpowrotem w okrutną krainę, gdzie tylu już myśliwych złożyło swe kości. Niejeden z nich bowiem, licząc na szczęście myśliwskie lub na przybycie statku z żywnością, zapuściwszy się daleko, pada ofiarą strasznej nocy polarnej.

Nieprzywykły do spotykania ludzi rodak Malmgrena rozgadał się z nim trochę, wypytywał się o „Italję” i zagadnął:

— A Nansen nie wyruszy do bieguna?

— Ma wyruszyć w r. 1930.



— Pytanie, czy też kto znajdzie kiedy szczątki tego szalonego Andréego, co pierwszy puścił się statkiem napowietrznym na podbój bieguna. Dawno to było?

— Przeszło trzydzieści lat temu. Istotnie szalone było to przedsięwzięcie w czasach, gdy nie istniały jeszcze przepowiednie meteorologiczne, jakie dzisiaj odbieramy przez radio z przelicznych stacyj.

— Juści szaleństwo — przyznał obrośły łowiec. — Opowiadano mi kiedyś tutaj, że stację radjotelegraficzną zastępowały mu gołębie pocztowe i jednego z nich ustrzelono na północy Szpicbergu. W ten sposób doszło do wiadomości, że balon Andréego nie leciał na wschód, w kierunku bieguna, lecz ku tajemniczej Ziemi Franciszka Józefa. Tam gdzie spotkała go katastrofa. A jakże będzie z „Italją”? — spytał, zapalając fajkę, i tynął okiem w twarz Malmgrena.

— Spodziewamy się powodzenia.

Łowiec potrząsnął głową, jakby myśląc sobie: — Różnie to bywa...

Krocząc po rozmiękłych śniegach z fajkami w zębach, doszli do miejsca, gdzie łódź zabrała uczonego szwedzkiego o kilometr od brzegu na pokład włoską banderą ubarwionego „Citta di Milano”, gdzie cała załoga „Italji” zakwaterowana była na czas pobytu w Zatoce Królewskiej.

„Spodziewamy się powodzenia” — mówił Malmgren i tak było rzeczywiście, lecz od chwili przybycia na Szpicberg miał stroskaną minę. Bo pogoda była coraz gorsza. Dookoła okrętu lśnił wianek lo-

dów, a temperatura była wysoka i podnosiły się mgły, które ustępowały jedynie pod naporem silnego wiatru i zawiei śnieżnej. A zawieje te zagrażały poważnie samemu istnieniu „Italji”, gdyż całe góry śniegów waliły się na jej nieosłonięty grzbiet, co mogło doprowadzić do zniszczenia jej powłoki.

Przez cały czas statek był wystawiony na przeciwności i trudności. Jednakże „Italja” okazała się daleko lepszym aerostatkiem, aniżeli dość powszechnie mniemano w kołach fachowców, a narzeczona Malmgrena, zbyt pochopnie dając posłuch krytyce, niedoceniła Nobilego jako konstruktora.

Wszyscy wierzyli w swój statek i nic nie mogło ochłodzić zapału, przenikającego uczestników wyprawy. Niemniej marynarze z „Citta di Milano”, z których niejeden nie widział w swem życiu śniegu i marzył w temperaturze polarnego lata, gorliwie przykładali rękę do przygotowań, a zwłaszcza oczyszczali „Italję” ze śniegu.

Wreszcie w połowie maja aura zdała się naprawiać i oczekiwano próbnego wzlotu w nieznanie przestwory polarne.

Pewnego wieczora, gdy Malmgren gawędził z czeskim prof. Franciszkiem Behounkiem, badaczem elektryczności atmosferycznej, i z fizykiem prof. Pontremoli w ciasnej klitce okrętowej, a popijając whisky z wodą sodową, rozprawiano o prognozykach atmosferycznych, ukazał się kapitan okrętu i oznajmił im, że generał Nobile postanowił odbyć nazajutrz planowaną od dni kilku wycieczkę na północ.



Zelektryzowało to wszystkich. Następnego dnia, już o 4-tej godzinie z rana, gdy panuje najniższa temperatura i dlatego najdogodniejsze są warunki do takiej wyprawy, — zgromadzili się przy hangarze, prócz uczestników i marynarzy potrzebnych do manewrowania, mieszkańcy Zatoki. Między nimi pojawił się jedyny miejscowy lekarz ze swym czarnym psem, ośleptym skutkiem porażenia wzroku przez śniegi. Nie zabrakło aparatów fotograficznych.

Trzeba było z największą ostrożnością wyprowadzić „Italję” z wąskich ścian hangaru, by nie doznała najmniejszego uszkodzenia. Generał w pełnym uniformie (jak dwa lata temu, gdy „Norge” Amundseny wyciągano z tej hali), z tubą w ręku, wydawał rozkazy. Ale trwało to długo, nim marynarze puścili ostatnią linę, a „Italja”, pobłogosławiona przez ks. kapelana okrętowego, wzbija się w przestworza w kierunku morza i znikła poza białymi wzgórzami półwyspu Blomstrand.

Lot ten próbny skończył się w kilka godzin. „Italja” dotarła tylko do północnych krańców Szpicbergu, gdzie znalazła morze przez Golfström uwolnione od lodów, posiane krami. Nobile chciał skierować się w stronę Grenlandji, lecz gdy napotkano tam mgły i zawieje, odstąpił od tego za radą Malmgrena.

W kilka dni potem przedsięwzięto drugi taki lot, do mało znanej Ziemi Mikołaja Drugiego, i znów marynarze i mieszkańcy Kingsbay dopytywali się u radjotelegrafisty okrętowego, będącego w stałej łączności z „Italją”, gdzie się ona znajduje.

Przez 68 godzin „Italja” przeleciała nad niezbadanymi dotąd przestrzeniami morza, w pobliżu dość tajemniczego Gilleslandu, potem nad Ziemią Franciszka Józefa i wreszcie, zboczywszy do Nowej Ziemi, powróciła do Kingsbay. Lądowała bez trudności i świetnie zrobiła wrażenie.

U progu krainy białej śmierci zapał ponosi najtrzeźwiesze nawet umysły. Dzielił go z towarzyszami doświadczony uczonej szwedzki. Ujawnił się jego promienisty duch, zapatrzył się w swój heroiczny cel jakby w gwiazdę i porwany w sferę cudownej fantazji, zawołał do prof. Behounka:

— Ot, Nobile powinien wylecieć do bieguna magnetycznego jedynie z niezbędnym gronem towarzyszków. Zabrać dziesięciu ludzi, wyzyskiwać korzystne wiatry i, aby oszczędzić benzyny, bez motorów dać się ponieść aż hen do New Yorku...

Wyrzucił to z taką mocą, z taką szlachetną żądzą, że oczarowany słuchacz nie uważał tego w tym momencie za szaleństwo.

Dla stalową wolą i ideałem unoszonego Malmgrena niepodobieństwo zdało się rzeczą możliwą.

### III.

#### WIELKI LOT I KATASTROFA.

— Piękny dzień, pierwszy rzeczywiście piękny dzień od naszego przyjazdu — zauważył porucznik



Viglieri, wchodząc do jadalni oficerskiej, gdzie Malmgren, por. Behounek i kilku oficerów kończyli obiad.

— Temperatura tylko 4 czy 5 stopni niżej zera. Wiatr od wschodu. Zobaczmy, co przyniosą prognozyki z Tramsö — rzekł meteorolog.

— Wszyscy już poczynają mówić o nowym wzlocie — rzekł Viglieri.

Istotnie, jakby na dane hasło, rozprawiano wśród załogi o ostatecznej, koronującej dotychczasowe wycieczki wyprawie, o oceanograficznych pomiarach bieguna, pomiarach głębokości morza i jego temperatury oraz o zdobyciu prób wody w celu późniejszych badań chemicznych i biologicznych.

— Tym razem do bieguna? — rzucił Behounek.

— Z pewnością do bieguna.

— Pytanie, czy generał zabierze mnie teraz z sobą — westchnął fizyk czeski, wysoki, korpulentny mężczyzna, którego dwa razy spotkał niemały zawód, gdy Nobile nie zabrał go z sobą na pierwsze próbne podróże „Italji“.

— O! zabierze pana, zabierze! — roześmiał się skłonny do żartów Malmgren, zapalając fajkę, a mając na oku „tuszę Behounka, rzekł z uśmiechem: — Będzie to z niemałą dla wyprawy naszej korzyścią, gdy pan będzie z nami, bo jeśli się rozbijemy, będzie się czym żywić... \*)

\*) Autentyczne słowa Malmgrena, z tego względu znamienne, że później, jak wiadomo, rozbrzmiewały po całym świecie przypuszczenia, a nawet twierdzenia, że on sam padł ofiarą kanibalizmu dwóch swych towarzyszków włoskich.

— Czyż pan wogóle uważa kanibalizm za możliwy?

— To rzecz możliwa; opowiadano coś podobnego o wyprawie Amerykanina Greelys'a do północnych brzegów Grenlandji w latach 1881—1885.

— Jak to było? — spytał Viglieri.

— Gdy okręty z żywnością nie mogły na czas przybyć i z 25 ludzi zmarło z głodu 18, utrzymywano, że ci, co pozostali przy życiu, zjedli swych towarzyszków. No, może. Byli to praktyczni Amerykanie. Anglicy nie uczyniliby tego. To dżentelmeni.

— Czy były na to dowody?

— Nie, dowodów nie było. Więc być może oczerniono Greelys'a i jego sześciu towarzyszków.

Rozgadali się o tej kwestji, gdy wszedł majtek i poprosił Szweda do generała, który pragnął z doświadczonym podróżnikiem wypróbować gumowe łodzie ratunkowe „Italji“. Albowiem Nobile lubił osobiście czuwać nad sprawami rekwizytów swego sterowca.

Utwierdziło to Włochów w przekonaniu, że generał lada dzień przedsięwzięcie wlot do bieguna. A że nie można było obciążać „Italji“ zanadto i skutkiem tego należało z konieczności wyłączyć niejednego, tęgi prof. Behounek do ostatniej chwili lękał się, czy nie pozostanie na pokładzie statku w Kingsbay. Tak samo też nieoceniony por. Viglieri i ks. profesor Gianfranceschi, który, jako duchowny, pragnął być obecnym przy akcji zrzucania na bieguna, wraz z banderą włoską, krzyża ojca świętego.



Przygotowania do startu trwały, jak zwykle, dłużej, aniżeli przewidywano. Wreszcie wieczorem dnia 22 maja wszystko, jak się zdawało, było gotowe. Co godzina oczekiwano hasła do wyjazdu i w jadalni oficerskiej pękło kilka butelek szampana dla uczczenia wzlotu na biegun.

Wśród ogólnego podniecenia wyznaczeni przez generała uczestnicy wyprawy poczęli ubierać się w ciężkie, owczą wełną przeszywane odzienie polarne. Włosi przywdziewali podwójną wełnianą bieliznę, na tem mieli nieprzemakalne khaki, mianowicie kurtkę bez guzików, którą trzeba było przeciągać przez głowę. Niektóre kurtki miały futrzane kołnierze, inne przyczepione kaptury. Spodnie opatrzone były w mnóstwo guzików i bardzo skomplikowany zatrzask. Na nogach mieli wszyscy znakomite łapcie lapońskie, które ten i ów wymościł sobie trawą. Przy wysokiej temperaturze 4 stopni niżej zera nikt tak ubrany nie cierpiał od mrozu, jedynie marzły im ręce, gdyż kto pracował przy aparatach, nie mógł wkładać rękawic.

Gdy po północy zgromadzono się przy hangarze, okazało się, że gdzieś ulatniał się gaz. Trzeba było zatem odszukać dziurkę i zatkać.

Ostatni wsiadł na sterowiec generał Nobile, gdyż sam kierował przygotowaniem do startu. W tej chwili spostrzegł stojącego na łodzi porucznika Viglieri, który, wyłączony z grona uczestników, tak zmartwioną przybrał minę, że Nobile zdecydował się w ostatnim momencie zabrać dzielnego oficera z sobą. Tak się stało i w istocie niejeden z podróżników widział

w tem rękę Opatrzności, gdyż po katastrofie Viglieri oddał towarzyszącej niedoli wręcz bezcenne usługi. On to bowiem oznaczał położenie geograficzne rozbitków, okazał się jedną z najtęższych, naczelných jednostek i wyrósł na podporę straceńców.

Odjazd „Italji“ nastąpił o 4<sup>1/2</sup> z rana dnia 23 maja. Pogoda była piękna, niebo niemal bez chmurki, słońce odbijało się w sfałdowanych wodach.

Dwa motory dudniły wesoło, w głównej gondoli panował zwykły ruch, oficerowie byli przy sterach i mapach, Pontremoli przy podwójnej busoli, Malmgren i Behounek na swych posterunkach obserwacyjnych, a dziennikarz Lago zaglądał tu i ówdzie, chcąc wszystko słyszeć i widzieć, wszystko opisać.

„Italja“ poleciała najpierw w kierunku północno-zachodnim. Odciążywszy sterowiec przez zrzucenie kilku wiader benzyny, wzleciała ponad lodowce Szpicbergu. Wnet zginęły z przed oczu podróżników Zatoką Królewska i okręty. „Italja“ zawisała między niebem a wodą, przeleciała przez obłok mgły, który w świetle słońca robił wrażenie kuli wełnistej, i ukazały się lodem pokryte przestrzenie morza. W gondoli zamarzała woda mineralna w butelkach.

Po obiedzie Malmgren wlaźł w wór z futra reniferowego, by spocząć. Na żelaznej galerji sterowca spał w worku, kto był o tej porze niepotrzebny. Pobudzili się wszyscy dopiero wtedy, gdy ukazały się na zachodzie krańce Grenlandji i olbrzymie skały lodowe na Pearylandzie. Viglieri robił zdjęcia fotograficzne.



Pomyślny wiatr od zachodu pędził „Italję” ku biegunowi, a z pomocą kompasów magnetycznych, pracując dwoma silnikami, leciała ona z taką szybkością, że już po ośmiogodzinnym locie od Grenlandji zbliżyła się do celu podróży.

Błada, popielata atmosfera polarna otaczała dumny, orli statek. Wszyscy, w jakimś podniosłym, jakby sakramentalnym nastroju, oczekiwali wielkiego momentu, w którym będą mogli uświadomić sobie, że dotarli do tak długo tajemnicą omotanego punktu ziemi.

Nie pierwsi. Przed nimi już trzy wyprawy dobiły do celu marzeń tylu wielkich, tragicznie zmarłych podróżników. A zatem nie czekała ich sława odkrywców. Niemniej wstępowali w szczupłe grono zdobywców bieguna, wzbijali się na piedestał rycerzy polarnych. Więc podniosłe, cudowne wzruszenie ogarniało śmiazków i serca biły młotem.

Tymczasem kapitan Mariano po dłuższych wywiadach — było to pół godziny po północy 24 maja — rzucił wielkie słowo:

— Biegun!!

„Italja” zwolniła lot i wirując zniżyła się przez wiszącą nad biegunem mgławicę, potem na wysokości zaledwie 150 do 200 metrów, gdzie mgły były rzadsze, jakby zawisała w przestworzach, niby orzeł groźny, zwycięski.

Widok przedstawił się oczom niewysłowienie smutny.

Rozciągała się w nieskończoność, niby w zaświaty, jednostajna równina zamarłego morza. Zrazu

zdała się całkiem nieskażona. Wnet jednak dostrzeżono na bezmiernej płycie porozrzucane chaotycznie tysiące, miliony brył lodowych. Okazało się, że równina jest porysowana nikłymi kanałami, które z góry wydawały się nitkami. A cały ten pejzaż, skąpany w mętnych cieniach mglistego dnia polarnego, przyniatał pierś widza niby obraz olbrzymiego, bezkresnego cmentarzyska, na którym zebrała się przez wsze wieki nagromadzona, jak świat wielka niedola ludzkości, co była i jest na tym globie.

Smutek rozgościł się na szczycie, spowitym w posępne gazy, i z tego swego królestwa panował nad ziemią, nad rzeszami słabych, biednych jej dzieci...

Atoli nikt nie poddawał się wrażeniu. W przedniej gondoli, nie bez pewnego podniecenia, trzej mężowie nauki oddawali się obserwacjom, a Ceccioni i Trojani zajęci byli przygotowaniami do zrzucenia na biegun bandery i krzyża, obciążonych u dołu i zopatrzonych w szpice, by utkwiły w śniegach.

„Italja” płynęła jak najwolniej, gdy na rozkaz generała spadła barwna bandera włoska, a za nią olbrzymi krzyż papieski.

Zdobyto biegun! Radość wystrzeliła z żywiołową siłą. Gramofon rozniósł dźwięki faszystowskiego hymnu „Giovanezza” i uszczęśliwieni synowie Włoch zaintonowali z zapałem tę pieśń bojową. Zaczem zabrzmiała każdemu sercu włoskiemu droga, melodyjna pieśń: „Bella Italia del mio cuore” i dziwnym, słonecznym, ciepłym wydała się akordem na tle wieczystych lodów i śniegów.



„Evvival!“ — krzyknęli dwaj niewłoscy uczestnicy wyprawy, wszyscy podjęli triumfalny okrzyk, zespolili się w serdecznym wiwacie na cześć Nobilego i jego pięknej ojczyzny.

Malmgren i inni wieszowali Nobilemu, że po raz drugi zdobył ten biegun. Wysłano depeze radjowe w różne światła strony. Niejeden prznosił się myślami w ojczyste swe strony i widział się w gronie swych najbliższych przy domowym ognisku.

Za wcześniej. Złośliwa Nemezis gotowała im fatalną niespodziankę.

„Italja“ leciała zpowrotem. Pierwotnie planowano, aby Malmgren, Pontremoli i Mariano opuścili się na lody bieguna. Przygotowano nawet wszystko do ich dłuższego tam pobytu. Byłoby to z pewnością w interesie badań naukowych. Jednakże poniechano tej myśli, gdyż mgły włóczyły się nad lodami, a wiatry nie chciały spocząć, i skutkiem tego nie byłoby można zakotwiczyć sterowca.

Zresztą taka impreza połączona jest z ogromnym niebezpieczeństwem. Doświadczenie, jakie niebawem miała zdobyć załoga „Italji“, dowodzi, że kto z aerostatku wysiada na lody polarne, niemal niechybnie spotka tam śmierć.

Tak więc o pół do czwartej z rana d. 24 maja „Italja“ bez zwłoki zwróciła się w kierunku Szpicbergu.

Malmgren spoczywał w worku na dnie gondoli, dopóki go nie zbudzono do przejęcia depeze meteorologicznych, nadchodzących z różnych stacyj. Przej-

mował je nieoceniony radjotelegrafista Biaggi. Około południa rozdano zimne potrawy, ser, sandwicze i z wielkiego termosy rozlewano gorącą herbatę.

Później zerwały się wiatry, lecz motory dość były potężne, by stawić im czoło, aczkolwiek „Italja“ leciała teraz już tylko z szybkością 30 kilometrów na godzinę. Od Kingsbay dzieliła ją przestrzeń około 700 kilometrów. „Italja“, obciążona wilgocią spadających mgieł, nie mogła spodziewać się szybkiego powrotu do swego okrętu-matki. Nie dawało to wszystko jednak najmniejszego powodu do niepokoju.

Wszyscy byli w jak najlepszym usposobieniu. Gramofon przygrywał, ten i ów Włoch nucił swe lube pieśni, koniak rozgrzewał wnętrze, podróżni rozmawiali wesoło, snuli plany przyszłości, aż zmorzył ich sen. „Italja“ przy temperaturze 10° niżej zera szybowała niefrasobliwie.

W gondoli panowała cisza. Nie zdawano sobie sprawy, że sterowiec pracuje wszystkimi trzema motorami i boryka się z silnym wichrem i mgławicą, raz lekką, drugi raz gęstszą. Malmgren zażywał zasłużonego spoczynku.

Zbudził go zimny dreszcz. Spojrzał na zegarek, który wskazywał godzinę 9 i 42 minuty czasu środkowo-europejskiego. Nastąpił pamiętny dla Włochów dzień 25 maja, rocznica przystąpienia do wielkiej wojny — dzień, który dla uczestników tej wyprawy miał w tej chwili zapisać się czarnymi głoskami.

Przez okno gondoli nie było widać ani wysepki, ani lądu — nic, tylko lodami nakryte morze; gdy



Malmgren raptem zauważył w tętnie silników nieprawidłowości. Zastanowił się...

Raz, drugi, trzeci rozległy się detonacje i nagle wszystko ucichło...

— Pochylamy się! — ryknął blady z przerażenia Ceccioni.

Malmgren poblądł, zerwał się na nogi, skoczył do okna, by z pomocą sekstansu wymierzyć wysokość słońca, potem stanął przy głównym sterze obok Zappi'ego. Tymczasem Ceccioni otworzył drzwiczki zamkniętej gondoli i jął wyrzucać blaszanki z benzyną. Jednocześnie sterowiec zadudnił znów i poleciał dalej, bo generał kazał puścić wszystkie motory na największą szybkość. Ale pochylenie statku, wtył podanego, było znaczne.

Mariano tłumaczył wydarzenie tem, że przy sterze stojący lotnik popełnił błąd i skutkiem tego ster dostał się w t. zw. martwe położenie, a przez to aerostatek począł opadać. Lecz por. Viglieri, który na szczęście znajdował się przy sterniku, gwałtownym ruchem doprowadził ster do należytego położenia.

— Gdzie jesteśmy w tej chwili? — zapytał, jak wszyscy inni, przerażony prof. Behounek towarzysza szwedzkiego, ten zaś z chmurą na czole odrzekł:

— Zdaje się, że około 100 kilometrów od wyspy, leżącej na północ od Szpicbergu.

— A więc zbliżamy się do Kingsbay?

— Tak, — wyrzekł po chwili przygnębiony Malmgren — lecz lada chwila możemy runąć na lodowce.

— Czy tak?!

— Statek staje się coraz cięższy... Leci tylko z pomocą motorów i steru.

Jeden z oficerów spojrział na wysokościomierz, Wskazywał 500 metrów. To poniekąd uspokoiło wszystkich w gondoli, lecz nie zdawali sobie sprawy, że wysokość tę chwilową można było zawdzięczać wyzbyciu się balastu.

Ciężka chmura troski legła na duszach załogi. Czas włókł się powoli, a przestrzeń do Kingsbay jakby nie zmniejszała się wcale.

Siedząc na plecakach, wyczuwano napięciem nerwami bieg srodze zmęczonego statku. Mało kto przerywał milczenie. Jakiś okrutny wyrok zawisł niby miecz Damoklesa nad głowami...

Wtem „Italja“ poczęła szybko opadać. Okazała się raptownie cięższa od powietrza...

Ukazała się góra lodowa. Generał kazał zatrzymać motory, by przy uderzeniu uniknąć wybuchu zbiorników z benzyną.

Zegar wydzwonił pół do dwunastej.

Raptem stało się coś strasznego... Świadomość nie mogła prawie sprostać chyżości wypadków, pogonić za tem, co się działo.

Ceccioni starał się opuścić ciężki łańcuch metalowy, który niby kotwica wisiał na dziobie sterowca. Opoдал niego znaleźli się Szwed i Czech. Rzuciwszy się, by pomóc Ceccioniemu, ujrzeni jego tragiczną maskę.

Tymczasem Trojani dzwonił gwałtownie, dając w ten sposób sygnał maszynistom do odstawienia



motorów. Mariano wyjrzał z okna gondoli i potwierdzając ten rozkaz, krzyknął: „Ferma la macchina!” (zamykaj maszynę).

Malmgren przy jego boku wyjrzał przez okno i ujrzał, jak „Italja” przychyliła się wdół i stoczyła...

A lody leciały na nich z wściekłą szybkością, pędziły szybciej i szybiej...

Przerażenie runęło na umysły, wszystko skłębiło się w chaosie. Szwed zamknął oczy, a na duszę jego padło stucentnarowe, tragiczne: — Koniec...

Krach!! Po raz wtóry: krach!!

Gondola grzmotnęła ze strasznym łoskotem o lód, wryła się głęboko w śniegi i rozbiła się na miazgę.

Koniec? Nie. On żył jeszcze, bo czuł dojmujący ból w łopatce i ramieniu, a coś ciężkiego napierało nań ze wszystkich stron, zarazem popychając go dalej i dalej. Był to śnieg, który przez rozpętkłe dno gondoli dostał się do wnętrza.

Malmgren starał się wyzwolić z tego położenia. Wreszcie wygramolił się ze śniegu i rozejrzał się dookoła. Postyszał spokojny głos kapitana Mariano:

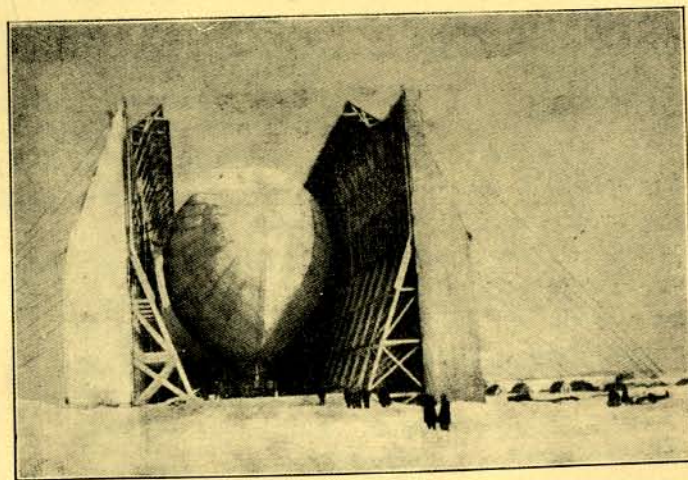
— All right, siamo tutti (dobrze, jesteśmy wszyscy).

Tymczasem „Italja” podniosła się nieco w górę, bez przedniej gondoli, jakby odciętej od kadłuba statku, i bez tylnej gondoli motorowej, gdzie znajdował się Pommela.

Na mostku „Italji”, po lewej stronie motoru, ponad gondolami stał Ardnino i spozierał z góry na



Brzegi Szpicbergu.



„Italja” w hangarze w Kingsbay (Zatoce Królewskiej).



rozbitków... Po raz ostatni statek skrył się w mgłę i odpłynął ku wschodowi, unosząc sześciu towarzyszy: podoficera Ardnino, maszynistów Ciocca i Carratti, mechanika Alessandrini, prof. Pontremoli i dziennikarza Lago. Nikt ich już nie ujrzął...

Teraz dopiero, spostrzegłszy długi szlak, wyłobiony przez kule sygnałowe gondoli, Malmgren zrozumiał, że gondola wleczona przejechała po śniegach przeszło 500 metrów. A katastrofę, która trwała minutę czy dwie, czyli nagły spadek „Italji“, tłumaczyć można było jedynie tylko znaczną utratą gazów, którą spowodować musiała ta okoliczność, że któraś klatka gazowa nie była dość szczelnie zamknięta.

Obok Malmgrena, który miał strasznie potłuczony lewy bok, zwichnął czy złamał lewą rękę, stał Behounek, który wyszedł bez szwanku. O kilka metrów od nich spoczywał generał Nobile z okrwawioną głową. Mariano pochylił się nad nim i pocieszał go ze zwyczajnym sobie przyjaznym uśmiechem. A Cecioni jęczał, skarżąc się, że złamał lewą nogę. Niebawem stwierdzono, że generał również miał złamaną prawą nogę i prawą rękę w ramieniu, nadto okaleczył sobie głowę. Myślał, że wkrótce wyzionie ducha. Zappi, jak się zdawało, złamał żebro, inni wyszli cało.

Uratowani! Oczekiwali zagłady, a znaleźli się przy życiu wśród śniegów i gładów. Więc znowu wstąpiła w nich nadzieja.

Lecz cóż się stało z „Italją“?

Rozglądali się po horyzoncie i ujrzeli na czystem tle nieba cienki słup dymów. Cóżby to zna-



czyło? Może ognisko łowców futer? Może dawano im sygnał? Nie. „Italja“ spłonęła doszczętnie.

Tak skończyła się wyprawa i poczęła się martyrologja rozbitków.

#### IV.

#### POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.

Przed szkarłatnym namiotem spoczywało na wojłokach grono rozbitków, którzy w siwych, zjezonych futrach mogli zdala robić wrażenie borsuków. Opoдал rozwieszane były na sznurze jaskrawe chorągiewki i chusteczki, a cała ta plama czerwieni odrzynała się krzycząco od błękitnawo-białego ła, od równiny śniegów, taflí martwych wód i lodowców, spiętrzonych w góry do 30 stóp wysokie.

Niby oko Opatrzności, wisiało nad tem słońce. Oślepiające jego promienie, odbijające się od śniegów, raziły oczy boleśnie. Więc ludzie, rozestani przed namiotem, pod koroną wielkiego milczenia przyrody polarnej, pokładli na głowy wiadra, skóry, chusty.

Minęło tak kilka długich białych dni i krótkich białych nocy, szarych odbłyśków dnia. A oni, to, gestykulując żywo, rozprawiali, toczyli namiętne swary i kłótnie, to, zapadając w posępny, cmentarny nastrój, milczeli w głuchej rezygnacji. Ale zawsze wybiegali wzrokiem w lazurowe podniebie, pytając się, azali nie zleci ku nim niebawem ptak wybawienia.

Osiedli straceńcy na krze, albo raczej na ruchomej wyspie lodów, i bytowanie ich rozpoczęło się od pogrzebu. Pochowali w zimnym grobie z honorami mechanika Pommele, który przy katastrofie w ciemni uderzony skończył w okamgnieniu.

Aliści, mimo wszystko, w nieszczęściu tem spotkało ich szczęście. Niemal w ostatniej chwili przed katastrofą Nobile, chcąc ulżyć „Italji“, dźwignąć ją ponad zwały groźnych lodowców, kazał wyrzucić bagaż. A że gondola spadła już o kilka metrów dalej, znaleźli oni w pobliżu żywność i niezbędne akcesorja wyprawy. Gdyby zaś orkan był poniósł ich o dwa, trzy kilometry dalej, byłiby niechybnie zginęli na tej pustyni w uścisku głodu i mrozu.

Znaleźli też aparat iskrowy. Zmontował go dzielny Biaggi i cud krótkiej fali radjowej sprawił, że można było wyjąkać wieść o tem, co zaszło, wskazać miejsce pobytu rozbitków, — że świat, zaalarmowany już, postyszał tragiczny zew: S. O. S.

Wyczerpały się wprawdzie akumulatory, lecz na wiązano łącznik ze światem i ze Szpicbergu jęły nadchodzić wiadomości o poczętej na olbrzymią skalę akcji ratunkowej.

Odtąd migotała nad nimi niktła, niby błędny ogień, gwiazdka nadziei. Nie mogła wszakże zgasić beznadziejności, wypływającej z rozwagi. Bo czy wysłany im na pomoc sterowiec odkryje tę krę, prądem na wschód niesioną i niekiedy mgłami otoczoną? Czy, odkrywszy ją, ujrzy na niej czerwony sygnał? Czy jakkolwiek statek napowietrzny zdoła wylądować?



Pod takimi znakami zapytania nadzieja kurczyła się, zamierała w mrozie i otchłani czasu, co włókt się, niby wóz ciężarowy przez wertepy, gdzieś w nieskończoność, w nicość.

Byli jak więźnie, skazani na dożywotnią katorgę pod strażą tyrańskiego mrozu, który, wszechobecny, nieubłagany, ścisnął ich w niewidzialnych a żelaznych szponach, ssał ciepło z ich żył, nękał ich i powoli zabijał. Pustka martwa zazierała w ich oblicza szyderczo, chichotała djabolicznie, a nad głowami ich wisiała zagłada.

Tymczasem, przed wizją jej uciekając, w trywjalnych zajęciach szukali zapomnienia. Profesor Behounek, zamiast zajmować się badaniami elektryczności w atmosferze, przeobraził się w kuchnię, odgrzewał konserwy, pitraśił coś na maszynie. Znaleźli oni na śniegach porzucane 50 kilo czekolady, nieco cukru, masła, a zwłaszcza konserwy „pemikanu“ (suszone kawałki mięsa łosiów z tłuszczem), posilny, ale na zimno bardzo niesmaczny prowiant. Ogółem mieli 170 kilo żywności na 9 osób, czyli po 300 gramów dziennie na osobę na dni 80. Za łyżkę służyła im wszystkim blaszana pokrywa termosu, zatknięta na patyku. Opodał kuchty dwaj Włosi rozcierali marznące swe stopy, inny rąbał siekierą lód, a samarytanin jakiś karmił złożonego w namiocie inwalidę Ceccioniego.

Wśród nich spoczywał na kocu Nobile ze złamaną prawą nogą i prawą ręką w ramieniu. Zdało mu się zrazu, że nie przeżyje trzech godzin, i mówił

z rezygnacją do swych towarzyszków, skazanych na śmierć głodową na lodowej pustyni:

— Trzeba się zgodzić z losem. Nie upadajcie na duchu! Wznieście się myślą do Boga!

Przez kilka dni zmienił się ogromnie. Kłęska wyprawy leżała na nim studentarowym ciężarem i wyłobiła na jego twarzy brózdę. Szczotka krótkich jego włosów przybrała barwę śniegów, a z oczodołów wyzierał chwilami wyraz obłądnej rozpacz. Bywało, że miotał się nerwowo, rozprawiał głośno, a potem zapadał w siebie, w głuszę rozpacz, na dno pogębienia i bezradności.

Jeden tylko profesor Malmgren, z morzem polarnym spoufalony i niby ze stali wykuty, czuł się zrazu jak Eskimos wśród ojczystych lodów, a mając na względzie skąpe zapasy żywności, myślał o polowaniu.

Niestety, nie mieli broni okrom rewolweru. Ale trzydziestoletni Szwed nie mógł z założonymi rękoma czekać spełnienia losów. Musiał w pracy jakiejś, w czynie szukać dla mięśni rozprężenia, a dla ducha zdrowego pokarmu. Nie poddawał się trosce i rozpacz; przybył do bieguna, jako urodzony zdobywca, więc chciał walczyć o ratunek, mocować się z wrażą przyrodą.

— Miał profesor słuszność—ozwał się do niego kapitan marynarki Mariano—gdy w Kingsbay wróżył sztorm pod biegunem.

Szwed potrząsnął głową.

— Stało się... — bąknął.



— A teraz jaką będziemy mieli pogodę? — spytał go kapitan Zappi.

— Aż nadto pomyślną temperaturę. Wysokie ciśnienie w okolicy bieguna nietylko trwa, lecz wzrasta.

W tej chwili rozległ się wśród uroczystej ciszy ponury huk, rozlewny i długi. Podawały go lody lodom, płynął w pustynne krainy, w miliony kwadratowych kilometrów, niezamieszkanym przez człowieka.

Cóż to było? Gromki wyraz oburzenia z powodu zuchwałości tych lekkomyślnych śmiałków? Groźba i wróżba zagłady? Albo tylko okropna skarga w mróz zakutego żywiołu, domagającego się życia?...

— Lody trzaskają, pękają — rzekł Malmgren. — Wnet ujrzymy na tej równinie rysy i kanały. Potwora się bajora i jeziora, i pytanie, czy nie przyjdzie nam przenieść obozowiska gdzie indziej.

Włoch zaklął siarczyście.

— Niska temperatura—źle, wysoka temperatura również źle. Tu chyba mieszka samo zło?...

— O, gdyby mieszkało! Nie byłoby go wśród ludzi—wtrącił porucznik Viglieri.

— Źle, że nadchodzi odwilż — przyznał meteorolog szwedzki. — Grozi nam bowiem niebezpieczeństwo, że ta kra oderwie się od zespołu lodów, przedostanie się między płynącymi wyspami i da się porwać prądom na pełne morze.

— Czy może to nastąpić szybko? — zaniepokoił się Zappi. Lecz Malmgren, lubo nie tając prawdy,

wystrzegając się słów zabijających ducha w towarzyszach, którzy, jak manny, łaknęli akordów wiary, nadziei i męstwa.

Do wyprawy arktycznej nie dość odpowiedniego statku i doskonałych przyrządów: główną rolę w tem odgrywa materiał ludzki. Ci zaś synowie Italji, z których dwóch czy trzech tylko brało udział w wyprawie Amundsen'a ze Szpicbergu do Alaski, cierpieli od zimna przy możliwie najłagodniejszej temperaturze, i to samo już odbijało się fatalnie na ich stanie moralnym. A w obliczu rozpaczliwego położenia załamywali się niby trzcina.

Ale Malmgren, uzbrojony w hart ducha, wychodził na spotkanie czyhającego nieszczęścia, gotów dobywać ostatnich sił, borykać się z losem zęb za zęb, do upadłego.

Pocieszał towarzyszy, uspokajał, zaczem chwycił siekierę i ruszył w stronę poszarpanych wzgórz lodowych.

— Dokąd? — zawołał za nim Mariano.

— Na niedźwiedzia—odrucił Malmgren, sążnistymi krokami człapiąc w mazi napoły rozmiękłych śniegów.

— Egli e matto—bąknął inżynier Trojani.

Kilku wielce zaciekawionych puściło się za „warjatem” i foxterier Nobilego skoczył za nimi. Skoro jednak wypadło mu brnąć w grząskich roztopach, mrozić w nich łapki, zatrzymał się wnet, popatrzył z rozmysłem za odchodzącymi i nawrócił do namiotu. Drżąc z zimna i kurcząc się, wlaź pod koc



swego pana, który, na nic i nikogo nie zwracając uwagi, nurzał się w posepnych widokach wyobraźni.

Malmgren z zapalem łowcy i rozmachem żaka na wakacjach wędrował przez płaszczynę, miejscami zapadając w śnieg aż po warstwę lodu.

Wśród pobliskich rozpadlin i złomów lodowych przeczuwał białego zwierza.

W ciągu ostatnich nocy dał on znać o sobie. Trzy niedźwiedzie zbliżyły się raz do namiotu. Czworonożny Titino jął gwałtownie jazgotać, drzeć się w panicznym strachu i rozbudził wszystkich.

Puknięto kilka razy z rewolwerów. Nie przerażono to wszakże mieszkańca bezludzia; zdziwił się raczej, jak wogóle dziwiło go owo nigdy dotąd niewidziane, dwunożne, wątle stworzenie, jakie pojawiło się w tej okolicy.

To, co straszło innych, radowało wypróbowanego wśród Eskimów łowcę. Z rana zarzucił na plecy łąso i poszedł szukać białego misia, przypuszczając, że może uda mu się okiełznać gapiowate zwierzę, zarzucić mu wkoło karku pętlę i przywiązać do bloku skalistego. Było to jednakże możliwe jedynie wtedy, gdyby napotkał starego i obżartego niedźwiedzia.

Nie licząc już na to, Malmgren wziął tym razem ostrą siekiere i długo błakając się wśród turni, zajął wreszcie stanowisko u wylotu z ciasnego wąwozu na płaszczynę, gęsto porysowaną w arabeski, czyli na bezmiar drobniejszych kier, w zespole swym przypominających laguny.

Tam zaczął się i wycierał w dal, lekką mgłą zasnutą, aż raptem ujrzał z boku na grzbiecie rozplaszczony skały króla tej pustyni arktycznej — piękne, długie, jak śnieg białe zwierzę, które z wyciągniętym pyskiem nisko zapatrzyło się w ciemną jego sylwetkę, niby na dziwnego, rzadkiego robaka.

Skrzyżowały się ich spojrzenia. Pan bieguna stanął naprzeciwko pana tego globu i przez długą chwilę obaj znieruchomieli, zamienili się w posagi.

Aż Malmgren, nie spuszczać z oka niedźwiedzia, cofnął się przez przesmyk w stronę laguny lodowej. Ale tylko o krok, a skoro zwierzę, przekroczywszy za nim wąwóz, wynurzył łeb, rzucił się na niego z wzniesioną siekiere.

Oczywiście szaleństwo! Przecież w upadku gondoli okaleczył on sobie lewe ramię i obraził je tak, że nie odzyskał w niem jeszcze zupełnej władzy. Rozporządzał przeto wyłącznie prawem ramieniem. Wszelako liczył na to, że, jak w życiu narodów, śmiały i zaczepny odnosi zwycięstwo nad łagodnym, chociaż mocnym kolosem.

Czy nie omylił się fatalnie? Niedźwiedź z niespodziewaną elastycznością uchylił łeb błyskawicznie i wyslizgnął się z pod ciosu, który padł w próżnię. Zaczem—może w naiwności dobroduszej poczytując to jeszcze raczej za igraszkę swawolną—wzniósł się na tylne łapy, zakrólował nad łowcą całą okazałością swego ogromnego, zwalistego cielska. Potężne, drażniące pazury zawisły wysoko, by zagarnąć niepoznanne zwierzę, i olbrzymi niedźwiedź z rozwartym



pyskiem, ze świecącemi kłami nachylił się ku niemu jakby lubieżnie...

Jeszcze sekunda, a...

A jednak stalowe nerwy łowcy nie drgnęły, nie pękły... W okamgnieniu dobył ostro ładowany rewolwer i palnął w niedźwiedzią paszczkę.

Kula przeszła podniebienie i uwięzła w zwojach mózgowych. Przepyszny władca tych krain wyrzucił ryk straszny, krótki, chrapliwy i jak dębu kłoda zwałił się, zwinął młyńcem i skonał u stóp zdobywczego, przepysznego człowieka.

Malmgren odskoczył jak piłka wstecz i chwycił upuszczoną siekiere. Lecz niepotrzebnie, gdyż pokonany król lodowej pustyni leżał bez ruchu. Aksamitny, śnieżny łeb jego z rozwartą paszczką, z wywieszonym jęzorem, nurzał się w kałuży burej juchy.

Wtem zagrzały brawa. Włosi, wyskoczywszy z pieczary lodowej, byli świadkami tej sceny, tego triumfu woli i męstwa i w uniesieniu podbiegli do łowcy. Wylał się potok entuzjastycznego zachwytu i o góry lodowe odbiła się salwa oklasków.

A Malmgren, przysiadłszy do zwłok zwierza, muskał dłonią jego futro i patrzył na wydłużony, srogi łeb, na szkliste, bursztynowe oczy, na tę niezapomnianą rzeźbę trupa, na którego czaszce wisiał ton tragiczny.

Wszyscy społem podźwigali nadzwyczajną zdobycz do obozowiska, gdzie Titino przyjął ich rozdzielającym skowytem, zaczem drapnął w najciemniejszy kąt namiotu.

Zapowiadała się wyjątkowa biesiada i prof. Behounek musiał rozwinąć cały swój wątpliwy kunszt kulinarny.

Epizod ten radosny był przelotnym uśmiechem w życiu pustelników na zimnej pustyni Śmierci.

V.

TRZECH ŚMIAŁKÓW OPUSZCZA CZERWONY  
NAMIOT.

Wracając z wycieczki eksploracyjnej ku zachodowi, Malmgren w pobliżu obozu zrozumiał, że zaszło tam coś nadzwyczajnego. Zelektryzowani rozbitkowie śpieszyli do wysokiego, w śniegu zatkniętego drąga, od którego szczytu szły pod ostrym kątem w śniegi przymocowane w nich druty.

Była to stacja radjotelegraficzna, przed którą Biaggi wymachiwał rękoma, przyzywając do siebie w ten sposób rodaków.

Ważną miał dla nich wiadomość z Kingsbay. Oto okręt ich macierzysty „Citta di Milano” donosił, że wyruszył ku nim w drogę statek „Braganza“, wioząc żywność, lekarstwa, aparaty iskrowe, tudzież dwa aeroplany,

Radość zapanowała z tego powodu bezbrzeżna. W pierwszej chwili niemal wszyscy wyobrazili sobie, że ratunek niewątpliwy zbliża się do nich szybkim krokiem, że jeszcze kilka dni, a odkryje ich latawiec



i nadjedzie okręt. Poniosły ich nadzieje. Nastąpiła reakcja nerwowa i śmiali się jak dzieci do siebie, zacierali ręce i wylatywali tęskną myślą do słonecznej, ciepłej ojczyzny. Zapomnieli w tej chwili o tych uczestnikach wyprawy, których porwany orkanem sterowiec poniósł Bóg wie dokąd, zapomnieli o przebytych katuszach, o wszystkim, co było, co zapadło się w czarne wczoraj, i kapali się, trzepotali jak ptaki w słońcu radości. Nawet piesek, wyczuwając ogólny nastrój, począł szczekać wesoło ni stąd ni zowąd i tak witał najmilszego gościa: dobrą nowinę.

Malmgren, znużony wielce swym rekonesansem, słuchał, pytał, informował się o „Braganzę” i ważył wszystko w głowie. A potem z ukrytym niepokojem przyglądał się, jak rój rozbitków niedokarmianych rzucił się na prowjanty, dotąd skrupulatnie dozowane. Aż wreszcie skoczył między nich.

— Wara! Czyż już dyscyplinę djabli wzięli? Czy to statek już czeka na was tu pod nosem?!

Trzeba było chlusnąć wiadro zimnej wody na rozpalone głowy cierpieniem dotąd nękanych ludzi. Pod tym zabiegiem otrzeźwieli, wrócili w zwykłe karby i dali posłuch rozwadze.

Wkrótce Mariano odciągnął Malmgrema na uboże i zagadnął go, co o tem sądzi.

— Excellent news... — wyrzekł wreszcie po angielsku flegmatycznie i ciągnął: — Możemy spodziewać się, że latawiec przywiezie nam i zrzuci nieco żywności i lekarstw. Leczą w perspektywie nie widzę nic więcej.

— Jakto? — zaprotestował Mariano. — Przecież potworzyły się tutaj między krami takie kanały, że statek nawet znaczniejszej pojemności zdoła przedostać się do nas...

Malmgren potrząsnął głową przecząco.

— Nie przebiję się do nas żaden statek prócz łamacza lodów.

— Nawet pancerna Braganza?

— Nie. Dziś lub jutro zamarnie i osiadzie w lodach. A jaki wzięła kurs?

— Płynię w kierunku Przylądka Północnego Brune.

Malmgren zamyślił się, a Mariano patrzył w jego wychudłą, smagłą twarz, namaszczonej stalową determinacją, i czekał jego słowa niby wyroczni. Lecz miłkliwy Szwed kazał się ciągnąć za język, nim rzekł:

— Do przylądka tego jest stąd około dwustu kilometrów... Daleko, bardzo daleko... A droga stąd najeżona strasznymi przeszkodami...

— Czyliż profesor radziłby nam wybrać się w tę drogę? — spytał kapitan fregaty, który wraz ze swym kolegą Zappim planował pokątnie wędrowkę do wybrzeża Szpichbergu.

— Trzeba to jeszcze rozważyć — zakończył rozmowę Malmgren i zbliżył się do Nobilego.

O tem, aby sterowiec mógł wylądować na ich krze, nie mogło być mowy. Nawet zachodziła kwestja, czy jaki śmiały hydroplan zdoła dokazać takiej karkołomnej sztuki. Więc Nobile oczekiwał ratunku jedynie



ze strony okrętu, a Malmgren przekonał go, że takim wybawcą może być wyłącznie łamacz lodów.

— Czekamy teraz rozkazu pana generała — wyrzekł wreszcie z mocą Szwed.

Snadź pragnął zasugerować dowódcę, wlać weń energję i poczucie odpowiedzialności za życie tej nieszczęśliwej czeladki. Wypuścił on bowiem z rąk cugle władzy.

Wylatywał w arktyczną strefę ze snem zaszytym w duszę, że po powrocie rodacy poniosą go na tarczy bohatera przez całe Włochy. Dopiero w dniu 25 maja zanalizował dyletantyzm swej wyprawy, a potem ugiął się pod tragizmem ich położenia. Toczył go wstyd, szarpał ból, opętały czarne myśli. Całemi godzinami siedział martwy, nieczuły na to, co działo się dokoła, w tępem, obłądnem osłupieniu. Mróz paraliżował mózg, zatrzymywał akcję myślenia, a nieszczęście, tragedia pokryły jego duszę kamiennem wiekiem grobowca.

Nagle przypomniano mu, że był generałem — generałem tej garści ludzi. Ocknął się, przywołał ich do siebie i oznajmił tonem rozkazującym:

— „Braganza” nie dobieje do nas, więc my dobijemy do „Braganzy”!

Popatrzył po twarzach i zawahał się, gdyż uprzytomnił sobie, jakie to uczucia nurtowały w nich teraz dla jego osoby.

Ileż to razy sarkano na niego, wytykano jego błędy! W rozgoryczeniu i rozpacz przychodziło do tego, że w oczy mu ciskano gorzkie wyrzuty i bry-

zowano kłatwą. A on, jakby bicowany, kurczył się, ugiął w poczuciu swej winy.

Złożył przed nimi władzę, jak pobity na głowę wódz, i nie śmiał już podjąć buławy. Więc po butnym tym wstępie rejterował zaraz:

— Nikomu nie narzucam swej woli... Każdy jest panem swego życia — proklamował. — Stoimy w obliczu Hamletowskiego zagadnienia: iść albo nie iść... Kto przyjdzie do przekonania, że lepiej czekać o gładzie na dalsze wyniki akcji ratunkowej, kto spodziewa się, że zawinie do nas jakiś skandynawski łamacz lodów, lub kto fizycznie nie czuje się na siłach do wyprawy tak uciążliwej—zostanie. Zostanie na własną odpowiedzialność. A zatem... Jak zapatruje się na to Malmgren? — zwrócił się nagle do Szweда ciekawie.

Malmgren milczał zafrasowany. Wiedział, co sam uczyni i co uczyniłby na miejscu Nobilego, atoli w skromnym charakterze szeregowca nie chciał porywać z sobą nikogo, nagiąć do swego przekonania. Bo zamierzony krok jego mógł okazać się równie błędnym, jak szczęśliwym. Zabrnęli w położenie tak tragiczne, że już nie zimny rozum, ale intuicja zdawała się najwłaściwszym wskaźnikiem.

— Ja nie chcę wypowiadać się w tej sprawie— odrzekł po angielsku — bo nie wiemy, czy i skąd przyjdzie ratunek. Nic nie wiemy. Najoczywistsze głupstwo może być najrozsądniejszą rzeczą...

Mimo te uwagi Nobile odgadywał zamiary Malmgrena i zrazu sam trwał w pierwotnem swem postanowieniu.



Jakoż Biaggi wysłał do Kingsbay wiadomość, że generał Nobile wyrusza z kilku towarzyszami do Przylądka Północnego.

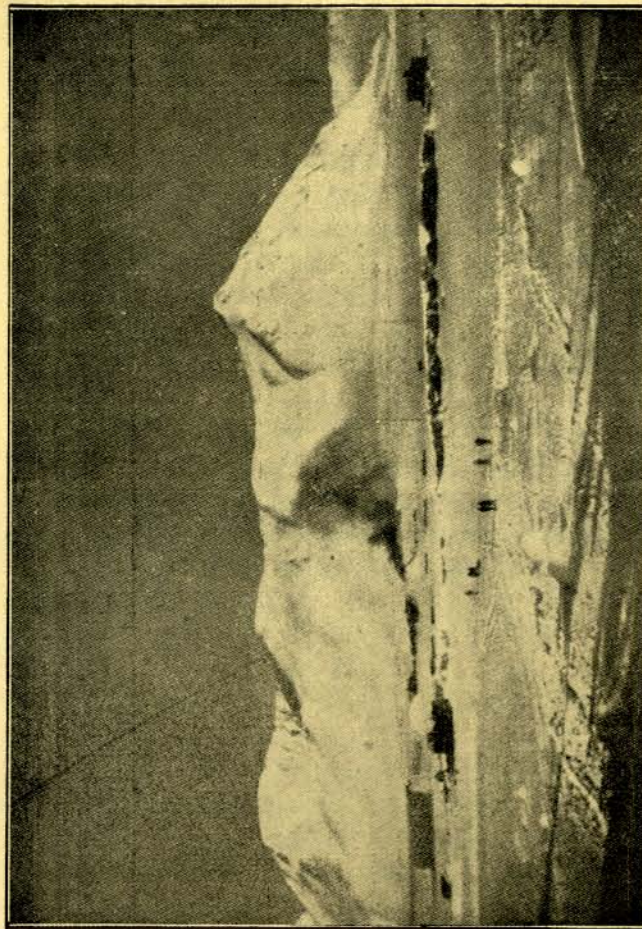
Nazajutrz wszakże, pod wpływem trzeźwych uwag Viglieri'ego, zmierzwiwszy całą grozę tego przedsięwzięcia, Nobile zwątpił, żeby jego i Ceccioniego dało się nieść na wątlých, lada jak skleconych noszach setki kilometrów, i zapadł znów w kontemplację okropnego, jak głowa Meduzy, fatum.

Nad obozowiskiem rozpostarła się znów mgławica nudy. Gnieździła się w niej choroba i pokutowały zwątpienie, smutek, strach, obłęd. Znów czekali, nie wiedząc, czy wolno im czekać na co innego oprócz zgonu. Znów wyzierali w bezkresną dal ku południowi, nie wiedząc, czy biegun północny nie sięgnie po nich jako po przynależne sobie ofiary, czy nie zstąpi do nich szklista, jak lód zimna Śmierć.

Noc grobowa przyszła na nich, gdy otrzymał wieść, iż „Braganza” uwięzła w lodach.

Malmgren spoczywał na kocach. Zdało się, że śpi, a on zadumał się, przypominał sobie sceny z innych wypraw polarnych, wyczytane lub posłyszane od Amundsena. Mianowicie oczarował go jeden moment z wyprawy Scotta na lodowe kresy południa.

Gdy, wlokąc się dni i noce od bieguna, jeden z czterech towarzyszy Scotta, dr. Oates, zachorował ciężko i powstrzymał ich przez to w marszu, tak iż ratunek ich wydał się wątpliwym, Scott wyczołgał się nocą z obozu cichaczem i poszedł w pustynię lodową, w niezmierną przestrzeń, gdzie oko nie znajdzie



Osada górników w Kingsbay (Zatoce Królewskiej).



nikogo, poszedł dobrowolnie w ramiona śmierci... Pędziła go tam myśl, że towarzysze nie opuszczą chorego, chociażby im wypadło przypłacić to życiem, że z nim razem spoczną na łożu lodowem do snu wieczystego...

Ten bohaterski podróżnik, ten heroiczny charakter przykuł do siebie wyobraźnię Malmgrena. Zdało mu się bowiem, że znalazł się w położeniu do niego podobnem. Zbliżała się doń niemoc. Nękał go ból w ramieniu, czuł, że mróz ima się palców osłabionej ręki, i bał się, że wkrótce z odmrożonemi kończynami stanie się balastem chorych i bezradnych rozbitków.

Zanim jeszcze nawiedziły go te obawy, patrząc na tych zbłąkanych tam straceńców, odczuwał wyrzut, iż uszczupla skąpe ich zapasy żywności, miał jej przysparzać, i to było bodźcem do wyprawy na niedźwiedzia. Już wtedy majaczyła przed nim wizja Oates'a i już przystępowała doń myśl, by zaprzepaścić się, złożyć swe życie w ofierze dla bliźnich.

Skryzalizowały się w nim te myśli, te obawy w postanowienie niezłomne. Zerwał się na nogi, by miasto małodusznie targować się ze śmiercią o życie, pójść na spotkanie Nieuniknionego śmiało i skończyć ten dramat wzorem rycerzy arktycznych.

Cienie nocy polarnej nakrywały obóz i uspio-nych męczenników. U nóg jego przewracał się z boku na bok w gorączce porucznik Viglieri; przy nim prof. Behounek jęczał przez sen z bólu, odmroziwszy sobie nogi; dalej mechanik Ceccioni dogorywał cicho;



inżynier Trojani, wymachując rękoma, odpędzał w śnie koszar okropny; telegrafista Biaggi bełkotał coś, gadał o niedźwiedziach; a generał Nobile załamywał ręce, tarzał się po wojłokach z obłądną na bladej twarzy rozpaczą.

Przeżarł ich ból fizyczny i moralny, zamienił ich w szkielety lub tłumoki bezsilne, namiot w szpital chorych ciał i dusz starganych.

A okropny nocny mróz polarny deptał po nich, nieubłagany jak Ananke, srogi jak kat, i pastwił się nad słabą istotą ludzką z szyderczo-triumfalnym uśmiechem.

Malmgren objął okiem ten obraz jakby z dantejskiego piekła i wyszedł przed namiot, gdzie w znamienym nieładzie wały się różne sprzęty wyprawy. Sięgnął po swój plecak, wyjął z niego kompas, schował go w kieszeń, długo wpatrywał się w mapę, jakby w księgę przyszłości, zaczem począł z rozmysłem wybierać i gromadzić swe rzeczy, potrzebne na drogę, wysłaną cierniami.

Biała noc ustępowała nieznacznie i od zachodu rozpostarła się po skraju horyzontu taśma zmatowanej białości. Zaświeciła przelotnie mdłym światłem nato tylko, by zwiastować fantastyczną grę blasków — zbliżające się dziwy zorzy polarnej.

Zaledwie znikła, z za krawędzi globu wystrzelił snop grubych, martwych jeszcze promieni, które, niby kłosa pod wiatru naporem, zwiesiły głowy i rozsnuły się nagle w niespodziany wodospad węzów, coraz bielszych, jaśniejszych, coraz więcej słońcem nasą-

czonych, aż, oznajmiwszy ingres słońca i dnia lodowatego, pierzchnęły, jak złudne rozbitków nadzieje ratunku.

Wtem na wschodzie wyjrzała, łysnęła na świat srebrzysta kula słoneczna, bez tej symfonji barw radosnych, jaka zachwyca włoską krainę — i promienie jej, niby palce, dotknęły bieguna.

Dreszcz świetlny przeszył atmosferę i stał się dzień — jeszcze jeden dzień w koronie dokuczliwej szklistej poświaty, a cichy jak lód i smutny jak ta garść straceńców.

Wynurzyły się z namiotu zmęczone twarze i ozwały się głosy.

— Dokąd to profesor wybiera się z tłumokiem? — zwrócił się do Malmgrena kapitan Zappi.

— Tam hen... po ratunek — wskazał ku zachodowi Malmgren.

A Zappi zastanowił się poważnie.

— Więc jednak... Dwieście kilometrów... Ileż to dni wędrówki?

— Najmniej, jak obrachowałem, siedemnaście, a najwięcej — ktoś wie... trzydzieści, czterdzieści. Zabiorę wam niestety trochę żywności.

— To się profesorowi należy, zwłaszcza że odżywiał się nędznie, niczem eremita w puszczy.

— Potrzeba mi trzydzieści razy po 300 gramów strawy.

— Zaraz je wydam — odrzekł zamyślony szafarz żywności.



Zanim Zappi sięgnął do zapasów, zbliżył się do nich Viglieri i począł żarliwie odwozić profesora od tej imprezy. Wytaczał różne ważne argumenty.

— Gdyby kto nawet przewędrował tę przeklętą, tajemniczą przestrzeń do Przylądka, któż zaręczy, że lodów tej kry nie dzieli od ładu kanał, zamykający do niego przystęp?

— Kra nasza płynie ku zachodowi — odparł Malmgren lakonicznie.

— Wpobliżu Przylądka można będzie zresztą sygnalizować „Braganzy“ czerwoną chorągiewką lub ogniem — wtrącił kapitan Mariano i wśród gromadzących się wkoło nich towarzyszyw począł z przekonaniem przemawiać za wyprawą do Przylądka.

— Zaprawdę lepiej iść stąd — mówił wkońcu — walczyć z przestrzenią, lodem, mrozem, niedźwiedziem i losem, aniżeli gnić tutaj na barłogu, zdychać jak szczur... Tam czeka nas ratunek, a tu niema nic. Szpital!... Ja pójdę z Malmgrenem!

Rozpoczął się istny sejmik. Raz jeszcze rozbie-rano ze wszystkich stron kwestję: iść, czy czekać? gdy tymczasem Malmgren i Mariano gotowali się do podróży. Przyłączył się do nich Zappi, porwany za-pałem i przykładem kapitana Mariano.

Dwaj ci marynarze a pierwsi oficerowie „Italji“ względnie najlepszym cieszyli się zdrowiem, a zrosli się w toku wyprawy, przywykli dzielić męki i katusze.

Powstrzymywał ich jeszcze porucznik Viglieri i zwrócił się do Nobilego, by im wręcz zakazał na-rażać się, jak mówił, na „pewną śmierć“. Ale gene-

rał innego był zdania. Uważał, że ci najzdrowsi z rozbitków mieli obowiązek pokuszenia się o ratunek reszty. A jeśli czuli się na siłach do tego przedsię-wzięcia, nikt nie miał prawa zagradzać im do tego drogi. Wierzył on, że dobiją do celu, i w głębi duszy spodziewał się z ich strony ratunku.

Opatrzywszy obuwie skrupulatnie i posiliwszy się, trzech śmiałków z tłumokami na plecach i siekierami poczęło żegnać się z towarzyszami, którzy obsta-pili ich kołem i spojierali na nich jak na bohaterów. Viglieri, ściskając ich, pomrukiwał jeszcze złowroźnie, lecz Mariano rzucił z brawurowym gestem:

— Audaces fortuna juvat!

— Brawo! — huknął generał, chociaż, zaliczając się do odważnych, mógł być uskarżać się na niełaskę fortuny.

Ci, co pozostawali w czerwonym namiocie, kre-ślili listy pożegnalne do swych bliskich w ojczyźnie, by wręczyć je odchodzącym, którzy — zdawało się — wychodzili naprzeciwko ratunkowi. A gdy pisali ostatnie swe słowa, łzy płynęły po ich twarzach, gdyż mieli wrażenie, iż żegnają się z życiem.

Odbierając od prof. Behounka jego list do ro-dziny, Malmgren starał się go pocieszyć.

— Być może, że my zginiemy, a wy zostaniecie wyratowani — rzekł.

Profesor potrząsł głową i po chwili ozwał się:

— Jak pan myśli: jaką zginiemy śmiercią?

Malmgren zawahał się z odpowiedzią, nim od-rzekł:



— Głodową. Ale to nie najgorsza śmierć, tylko bolesna. Staże się dopiero wtedy straszną, gdy kto w ostatniej chwili pragnie przywrócić umierającego do życia.

Aby włożyć na grzbiet ciężki, 25 kilo wazący tłumok, Malmgren położył go na bryle lodu i ukląkł przed nią. Gdy miał dźwignąć się z tłumokiem na nogi, zachwiał się i stoczył na śnieg. Czy nie przecenił swych sił?... Zrozumiał to w tej chwili, lecz nie był z tych, co się cofają. Zdało mu się, że honor nie pozwala mu rejterować.

Zginie... Ale czy nie zginą oni wszyscy? To przekonanie żywił na dnie duszy. A wołał zginąć jak żołnierz nieugięty w boju...

Zgromadzeni przed namiotem towarzysze szli za nimi żalosem spojrzeniem. Tracili trzech najdzielniejszych z pośród siebie. Objęło ich uczucie opuszczenia — zdało się im, że tam, dokąd oni zmierzali, uśmiecha się zbawienie, a im nie pozostaje nic prócz zagłady.

Tylko Viglieri i prof. Behounek kiwali głowami i przyrodnik czeski, nagle przecuciem tknięty, pobiegł za nimi, przytrzymał Malmgrena i zawołał:

— Zostań!... Zaklinam cię. Nie czeka cię w tej drodze nic dobrego.

Malmgren zwiesił głowę i stał przez chwilę bez słowa. Wreszcie odrzekł:

— Wszędzie, gdziebądź człowiek się znajduje, na przypiecku u matki, czy pod biegunem, śmierć ma do niego równie daleko.

Uściskał dłoń jego i, chcąc zostawić im ożywczy blask nadziei, rzekł z mocą:

— Wierzajcie, że przyjdzie po was ratunek...  
Poszedł.

## VI.

### NA LODOWEJ PUSTYNI.

„Na zachód, na zachód“ — wołało, rozkazywało im coś katagorycznie i napinało ich jak struny. Bezwiednie kroczyli z pośpiechem przez rozmiękłe śniegi, iakby do bliskiej mety. Aż Malmgren zreflektował się, pohamował towarzyszków i radził umiarkować krok, oszczędzać sił.

Wspięli się na taflę lodową i przystanęli, by objąć wzrokiem czerwony namiot, który był straszną, a jednak bezpieczną dla nich przystanią. Porzucili ją, by puścić się w bezkresy Niewiadomego...

Ból ścisnął pierś Malmgrena. Przypomniał sobie pożegnalne słowo Behounka i pomyślał sobie, że teraz, gdy ziściło się gorące jego pragnienie lat wielu, gdy dane mu było zawisnąć nad biegunem, powinien, syt triumfu, spoczywać w białym domku rodzinnym przy matce. Mógłby powiedzieć narzeczonej: „jam twój“ i przy boku idealnej towarzyszki życia oddać się cichej pracy naukowej, a na świat ludzki, na jarmarczne mrowisko patrzeć przez pryzmat duszy tej drogiej kobiety.



Czyliż, wyruszając jak żołnierz-ochotnik naprzeciwko grozie, nie miał na względzie tych kochających istot?... Nie. On nie należał do siebie, odkąd spędził pewien czas w kraju Lapończyków. Nasiąkł tam milczeniem śnieżnej pustyni i magnetyczny czar ciągnął go podświadomie w podbiegunowe lodowce, gdzie wstąpiła weń cicha pogarda dla ludzi, gdzie nauczył się żyć z sobą i radować się swą samowystarczalnością. Na tem tle rozkwitał jego dawny sen o zdobyciu bieguna.

Nie należał do siebie. Czuł się bowiem we władaniu potęgi wyższej, która kazała mu zrzucić skorupę egoizmu i żyć ofiarnie, śpieszyć po ratunek lub, jeśli tak ma być, umierać dla innych, dla tych upadłych żeglarzy powietrznych. Skąpał się w abnegacji i poświęceniu i nabrał w duszę niepojętej, nadludzkiej aureoli męczeństwa, która świeciła przed nim jak gwiazda przewodnia.

Przedostali się z mozołem przez ostre, skalne rumowiska lodowe, pozostawili za sobą wąwóz, przy którym Malmgren był zastrzelił niedźwiedzia, i wyszli na jeszcze bardziej dla piechura męczącą płaszczyznę lodów; suwając się po tej mozaikowej równi, musieli ze skupioną uwagą badać okiem teren, stawiać nogę ostrożnie, by nie zapaść się w ośnieżoną rozpadlinę, w żyłę wody. Miejscami znachodzili nieprzeczuwane mokradła na lodach i wtedy wypadało im obchodzić je, nakładać drogi jeden, dwa i trzy kilometry. I tak posuwali się nie wprost po szlaku, jaki wskazywał im kompas, lecz zygzakami, wiodącemi ich na zbrocza.

Nieraz przeto przystawali na tem oceanicznym bezdrożu, by odsapnąć, zastanowić się, naradzić.

Dwaj Włosi teraz dopiero pojęli, co to znaczy walka z przestrzenią polarną i wędrówka po lagunach podbiegunowej strefy. Nie oddawali się już złudzeniu, żeby dało się przebywać dziennie więcej nad dziesięć kilometrów w kierunku Przylądka.

Ale trzymali się dzielnie. Pocieszali się, że, będąc w ciągłym ruchu, mniej są wystawieni na niebezpieczeństwo odmrożenia nóg. Każdy pokonany kilometr karmił ich żdźbłem otuchy.

Szli i szli godzinami, nie zamieniając zbędnego słowa. Brnęli w mazi, wyczuwali stopą grunt, przeskakowali przez strumyczki. Aż tuman mgieł gęstych zastąpił im drogę, pozbawił ich widoku najbliższego celu, tak iż poczęli błąkać się w obłoku.

Nadeszła pierwsza noc — tak blada, że nie byłaby ich powstrzymała w marszu. Lecz spracowane nożyska domagały się postoju, tłumoki ciążyły, ozwał się głód, a rozsądek doradzał przeczekać mgławicę.

Opadli na szmaty, zajęli się obuwiem, nogami, spożyli nieco zimnej strawy z puszek i poczęli drzeć skuleni, oparci o tłumoki. Zgrupowani byli szczelnie, by nie zgubić się w tumanie, a w razie niespodzianego ataku głodnego niedźwiedzia wystąpić razem z siekierami do obrony. Gdy pogrążyli się w głębię snu krzepiącego, budził ich lęk przed pazurami cichego białego zwierza i świadomość bytu na pustyni Śmierci zakłócała im spoczynek. A wzmaga-



jący się mróz oplatał ich i wpijał się w znużone organizmy. Była to udreka, udreka i udreka.

Około trzeciej dzień stał się zupełny. Rozwiały się mgły, w przeczystej atmosferze widać było hen w znacznej odległości łańcuch wzgórz, nieznaczną, falistą narysowanych linją. Odznaczała się w tem góra, turnią zakończona, cała jakby z roztopionego srebra zlepią. Tuż przed nimi zaś rozpościerała się wyiskrzona, bieluteńka równina i świat w świetlnych rozblaskach zdał się jedną przeogromną świątynią srebrzystą, zachwycającą.

Podróźni rozprężyli skostniałe członki, łyknęli kilka kropel wódki, wyskrobali coś z puszek i, olśnieni widokiem polarnym, nabrali w piersi otuchy.

Począł się znów wielogodzinny marsz do owych jakby zbliżających się lodowców. Lśniły one na horyzoncie niby zakłete, nęciły ich, ale nie zbliżały się bodaj wcale. Minęły bowiem dwie, trzy doby, a srebrzysty kręgiel zdał się równie daleko, jak w pierwszej chwili.

Trudno było na białym stepie wymierzyć okiem odległość, człowiek gubił się pośród miliardów iskier, pośród orgji białości. Więc zdrożeni tułacze poczytywali te góry za wytwór swej wyobraźni i zdziwili się, gdy pewnego dnia ujrzeli wyraźnie przed sobą tysiące dużych i mniejszych brył śnieżno-lodowych, porzrzucanych po ogromnej przestrzeni. Orkan porzywał je kiedyś z łbów lodowców.

Do nich śpieszyli podróżni, jednostajnością przebytej pustyni nad wyraz znudzeni, jako do pożądanego

go etapu wędrówki. A że towarzyszyła im nadzieja, dozgonna człowieka przyjaciółka, więc zagościła w nich złuda, jakoby mieli wstąpić w lżejszy okres podróży.

To podniosło ich na duchu. Kiedy bowiem obliczyli, o ile przez ubiegłe dni zbliżyli się do swego celu, okazało się — o zgrozo! — że podróżując dalej z taką samą szybkością, dobiją do lądu dopiero za dni dwadzieścia. Zbacząc, błąkając się przymusowo to w prawo, to w lewo, zmarnowali kilka dni, wyszafowali wiele sił nadaremno.

A czy każdy z nich czuł w sobie jeszcze tyle łączyzny, by zdobyć się na dwadzieścia dni równomiernego wysiłku?... Czy starczy im na ten czas skąpej żywności?...

Ale oto sterczały przed nimi lodowce!

Przewijając się wężowo po ich stokach, strawią wprawdzie niemało czasu, ale nie tyle, co przez okrażanie jezior, rozlanych po rozłogach pustynnych.

Złudzenie. Zabrnęli w konfigurację lodowców daleko groźniejszą od tej, jaka tam oskrzydlała czerwony namiot. Wkrótce zagroziła im drogę głęboka kotlina, śniegiem wypełniona, a kapitan Zappi zapadł w lej puchów, oślizgnąwszy się w nie po zbczu lodowca, i o mało nie przypłacił tego życiem. Towarzysze wyciągnęli go, zanurzającego się coraz głębiej w białą pułapkę, zaczem stropieni musieli podjąć uciążliwą, długą wędrówkę, by ominąć niezwyciężoną zaporę. A natrafili tam na ścianę rozwieszonych małowniczo lodowców, w całokształcie przypominających wodospad, i nie pozostało im nic,



jak przerąbywać się przez nią godzinami — niestety, tylko nato, by nową napotkać przeszkodę.

Gdy ujrzeli fantastycznie splątany las olbrzymich maczug lodowych, co niby kły słoni sterczały w górę, Włochom opadły ramiona i przyszło na nich czarne zwątpienie. Z okropnej pustyni dostali się w okropną puszcę nie do przebycia.

Siedli na głazie, zwiesili głowy.

— Co począć?... Chyba wrócimy do namiotu?— wyjąkał Mariano.

— Czy ja wiem, co począć?... — odrzucił Zappi i niewysłowienie znużony, zabity tem wszystkim, wyszeptał:—Położyć się w śniegi i zdechnąć...

Umilkły usta, choć skargi i jęki domagały się wyrazu, i spoczywali na grobie nadziei jak zrezygnowani skazańcy.

Tymczasem Malmgren wspinał się mozolnie na wierzchołek wysokiego, napęczniałego kręgla, chcąc objąć okiem leżące przed nimi tajniki terenu, dowiedzieć się, co dalej, co czeka ich jutro. Pozostawwszy tłumok poniżej, wdrapał się wreszcie na punkt obserwacyjny i, chociaż zmierzch nocny osnuwał już wszystko, ujrzał to samo, co miał dookoła, a więc krajobraz beznadziejny...

Położył się przed nimi nadspodziewanie szeroki pas szczególnie groźnych lodowców, które mogłyby odstraszyć nawet nieporównanego śmiałka od dalszej przeprawy.

Mimo to nie przyszła mu myśl powracać do obozu rozbitków. Gdyby towarzysze jego postano-

wili iść zpowrotem, przyjąłby to z pewnem uczuciem ulgi i sam poszedł dalej. Ani słowem nie zachęcał ich do tej drogi, gdyż w istocie nie pragnął obarczać się wcale towarzystwem, krępować się obecnością dwóch ludzi wtenczas, gdy chodziło mu o ratunek wszystkich. Przewidywał, że wypadnie mu liczyć się z większą wrażliwością południowców na mróz i z mniejszą odpornością amatorskich piechurów. Zresztą chciał być sam, oko w oko z wrażą przyrodą i w poczuciu swej samotności oglądać odzwierciedlającą się potęgę swego ducha.

— I cóż tam rozpościera się za tym przeklętym murem?—ozwał się do niego Mariano, opierając się o łód chorem ramieniem i zesuując się ostrożnie na stoki dzikich skał.

— Widać jeszcze złomy i wzgórze, lecz... może będzie lepiej — odrzekł Malmgren, nie chcąc oddziaływać przygnębiająco.

— Jakże my się przedostaniemy? — westchnął Mariano.

— Mamy siekiery i silne łapy—rzekł Malmgren, aczkolwiek czuł, że uronił już lwią część swych sił i nie odzyskuje należytej władzy w lewym ramieniu.

— He, he! — zachichotał na to zcicha Zappi i uśmiechnął się z piołunowo szyderczą ironją wisielca. A potem, gdy gotowali się na spoczynek, rzekł:—Odpoczniemy i ruszymy zpowrotem. Do namiotu zajdziemy, a do lądu — nie.

Malmgren nic nie odrzekł. Zdało się, że popada w drzemkę, ale gdy towarzysze jego, snadź



nie mogąc usnąć w smutku, rozmawiali jeszcze półgębkiem, ozwał się raptem, ze sztucznem zacięciem:

— Dałbym w tej chwili królestwo za... fajkę!...

Milkiwy podróżnik rozgadał się niespodzianie. Jął opowiadać szczegóły z wyprawy Amundsena do Alaski, potem malował sceny z życia Lapończyków, by rozerwać towarzyszków, odpędzić od nich złe myśli. Gdy się okazało, że ma w nich ciekawych słuchaczy, mówił im o swej matce i o narzeczonej. Opowiadał im to i owo w mrokach nocy, niby dobrego niania chorym dzieciom, by dać im chwilę zapomnienia o stróżującej przy boku ich bezmiernej niedoli. Pełnił tę służbę samarytańską jakby z przyjemnością, aczkolwiek ból szarpał go w ramieniu, a smutne przecucie omraczało jego duszę.

Wreszcie rzucił:

— Za dwie godziny będzie całkiem jasno. A więc — spać!

Skłonił głowę, myśląc, aby tylko nazajutrz nie napadła na nich mgła, nie pograżyła ich w rozpaczliwej topieli, nie skazała na bezruch.

Zasnęli. Wszelako w godzinę Malmgren, widąc jakimś psim obdarzony instynktem, ocknął się i pochwycił słuchem ciche, powoli i z przerwami zbliżające się człapanie w śniegach.

Niedźwiedź!

Malmgren przeraził się. Za plecami ich wznosiły się nieprzystępne ściany skał, ucieczka wstecz i wzwyż była niemożliwością, a czmychając wzdłuż skalistego parkanu, wystawiliby się na widok białego

zwierza. Więc spotkanie z nim było nieuniknione i groźne. Bo czy nie wypędził go z legowiska głód, budzący drapieżne popędy?...

W strasznych opałach Malmgren sięgnął odruchowo po siekiere, gdy w skurczu mózgowym zabłyśła myśl. Nie budząc towarzyszków, dobył z pod siebie krótki koc i — łowił uchem złowrogie chrup! chrup!

Rozpłynęło się zcicha coś, jakby ziewanie rozwlekle, potem chrobot kilku łap i Malmgren wymiarkował, iż o kilka metrów od nich baraszkują dwa niedźwiedzie...

Łodowaty dreszcz przeszył go aż do szczytu czaszki. Lecz niby tonący deski, trzymał się kurczowo swej myśli.

Lisim ruchem sięgnął po coś do tłumoka i po chwili zerwał się na nogi, wysunął o krok naprzód, nim niedźwiedzie odkryty podróżników, wzniosł w górę siekiere i raptem zawieszona na niej tkanina zamieniła się w szmat ognia, rozbłysnęła w pomroku krwawą pochodnią.

W krzyżącym jej świetle zaśnity dwa długie, białe cielska i szybko się cofnęły. Przerazone nigdy niewidzianem zjawiskiem niedźwiedzie przepadły z basowym pomrukiem wśród chrzęstu i łomotu trawianych brył.

Za Malmgrenem pojawiły się wylęknione twarze dwóch Włochów. Zbudzeni, zorientowali się w sytuacji błyskawicznie i chwycili za siekiery. Ale teraz



dopiero zrozumieli, jak blisko wisało nad nimi niebezpieczeństwo, i Mariano zaklął przez zęby:

— Sacramentol... Malmgrenie, tyś nas uratował!

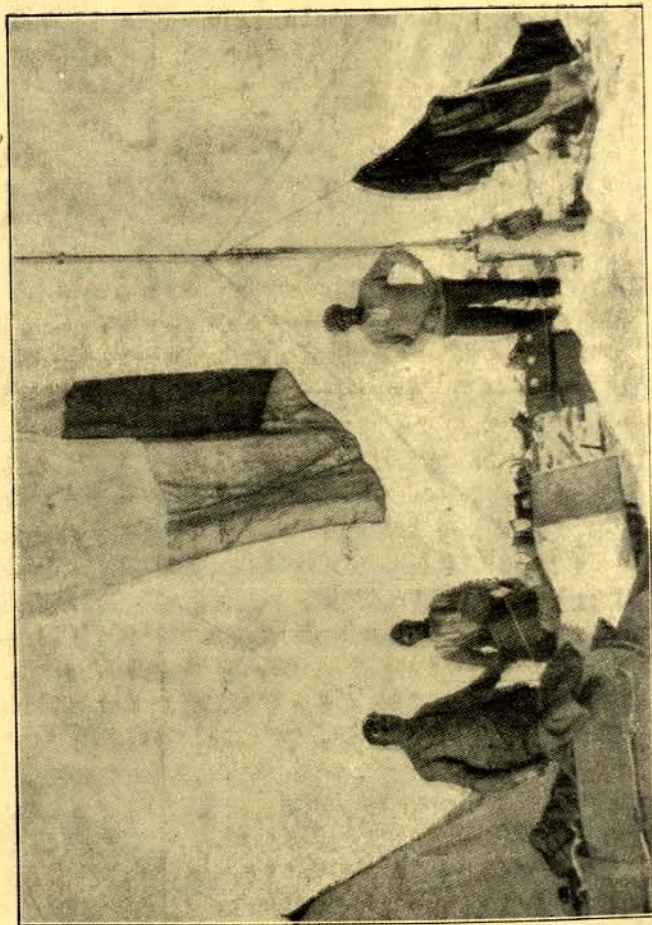
Sen ich opuścił. W obawie przed powrotem groźnego stróża puszczyci zarzucili szybko na siebie bagaż i co tchu zapuścili się w stłoczone przepaścisko ośnieżonych brył, głazów, lodowych okapów, igieł, baszt, w fantastyczne zaświecie dziwacznych formacji lodowych, wzgórz i turni, gdzie wreszcie, okropnie wyczerpani, wtulili się w jakby zabarykadowaną wnękę lodową na krótki spoczynek.

Kiedy, podniósłszy się znowu, stanęli wśród tęczowych rozblasków tej bajecznej krainy kryształów, oddaliła się od podróżników włoskich myśl o powrocie.

Dookoła drżało wszystko miliardami iskier radośnych, w cyplach lodowców paliły się ognie brylantowe, śniegi nakryły się srebrną łuską i za przyczyną słońca puszcza wrzała czarownem, swoistem życiem. Przyroda stworzyła nieporównane, wyśnione tło do srebrnej baśni.

W artystycznej psychice południowców zagrały renesansowe tony. A odkryli, jakby łaskawą ręką losu prowadzeni, opodał przygodnego swego schroniska coś, jakby krążganek, biegnący po śnieżnych osypiskach pomiędzy wzgórzami, w kierunku, który wskazywała im busola. Śnieżyna ta, stopą ludzką jeszcze nietknięta, zapraszała ich do dalszej wędrówki.

Zawahali się jeszcze, czy iść naprzód, czy wracać do namiotu. Gdyby naturalny ich przewodnik i wódz był zakomenderował do odwrotu, byłiby po-



Czerwony namiot z flagami na krze.



chopnie ruszyli za nim; lecz on, owinąwszy stopy płatkami, już gotów był do marszu.

Wtem Mariano zawołał w przystępie egzaltowanego zachwytu:

— Ptakil Ptakil!...

W istocie na przejasnym widnokręgu zabieliło się stado wielkich ptaków, ciągnących łańcuchem z polarnych regionów. Nadzwyczajne zjawisko! Wyrzuceni na kry tułacze przez cały czas męczeńskiego węgetowania w pustelni nie widzieli, okrom niedźwiedzia, ani nawet nikłego żyjątko, któreby świadczyło o życiu w tej krainie Śmierci. Więc widok tych skrzydlatych gości niegościnnego oceanu napełnił ich niepojętą w innych warunkach bytu radością. Rozpogodziły się wynędzniałe oblicza i, niby urzeczeni, zapatrzili się w nieoczekiwaną białą zjawę, w tej chwili za cud ją poczytując, za zwiastuna dobrej wróżby...

Jakże precudnem stworzeniem był ptak!... Cudem wydał się uroczym wśród miliona cudów, z jakich składa się świat, sam największy z cudów...

Ptaki, wielkości pelikanów, szybowały z wyciągniętymi szyjami sfornie, niby ogromny hufiec wyszkolonej jazdy, pędziły szybko przez etery. Rzekłbyś, że na zew generalski cwałowały w boje...

Zniżonym lotem kierowały się na zakute w lód fale wzburzonego oceanu. Jeszcze chwila, a wspinające ich skrzydła załomotały głośno, niby husarów rozpedzone stado, nad głowami trzech olśnionych tułaczów, przystonity na chwilę słońce białym, puszystym płaszczem.



Ptaki leciały na południowy zachód.

Mariano wznosił wysoko ramiona w ekstazie, wleciał całą duszą do tych pięknych, szczęśliwych gońców, błagając ich każdym nerwem, by zabrali rozbitków, ponieśli w lepsze światy...

Wzięli tłumoki, siekiery i powędrowali za ptakami.

## VII.

### UMIERAMY...

W serpentynach i zygzakach wiła się godzinami i dniami przeprawa bohaterskiej trójki przez puszcze lodową. Bywało pół dnia trawili na rąbanie siekierami w zwały zapierające im drogę, wdrapywali się na ostre grzebienie, na śliskie wyżyny. Niekiedy stąpali jakby po bokach śniegami zawalonych kotlin, nadzie wali się na ukryte pod śniegiem ostrza głązów, zapadali w wilcze doły między bryłami. Wyczerpywali się i targali nerwy, błakając się w matni, by wpaść w drugą, napotkać nową zasadzkę i nową rozpocząć walkę.

Zmarnowali tak więcej czasu, aniżeli się spodziewali, z tego uporczywego, tytanicznego zmagania się wynosząc Pyrrusowe zwycięstwa. Płacili za nie zanikiem sił fizycznych i moralnych.

Owo nieustanne sąsiedztwo wrażeń, zimnem zionących lodów, ów piekielnie wrogi nastrój arktycznej kniei, wreszcie wielogodzinna, rozpaczliwa praca siekierą i tysiączne znoje przeprawy, wszystko

to, trwając jakby bez końca, oddziaływało na ducha zabójczo, pchało myśl w labirynt szalu.

Pewnego razu kapitan Zappi wypuścił z rąk siekierę, chwycił się za głowę oburącz i, tocząc dookoła błędnym wzrokiem, wyszeptał, niby opętaniec w upiornym śnie:

— Można zwarjować!...

Padł w śnieg, miotał się, jęczał, kłął, złorzeczył Nobilemu, przeklinał los tyrański i wygrażał niebu, bełkotał coś o samobójstwie i — szlochał.

A gdy Mariano począł go mitygować, krewki marynarz wpadł na niego:

— Tyś temu winien! Namówiłeś mnie, wciągnąłeś w to szaleństwo!

— Bynajmniej. Wygłosiłem swe zdanie wobec wszystkich i...

— Będiesz miał me życie na sumieniu! — przerwał mu Zappi i pomstował zażarcie.

Zaiste nadludzkie, Herkulesa godne podjęli zadanie, jakiemu sprostać nie mógł tułacz wygłodzony, torturowany przez kilka tygodni i rozpaczą karmiony. Nieprzystępny w swym majestacie, imperatorski biegun zabarykadował im drogę szatańską zapórą, aby wyssać z nich soki żywotne, zadrzeć i zakatować śmiałków.

Tylko mąż na miarę herosa stworzony, tylko tytan spizowy mógł tak długo rąbać siekierą ducha las przeciwności, mógł niezłomnie mocować się z okrutnem przeznaczeniem.

A jednak, gdy obłęd zbliżał się do nich, Malmgren zdobywał się na słowo i ton otuchy. Miewał



wtedy zajmującą opowieść i częstował ich ze swej manierki. A przykładem swym krzesał w nich iskierki energii i wiary.

— Już niezadługo wybrniemy... — mawiał nieraz swobodnie, ale bez przekonania.

A Mariano, jakby z grobu wywleczony, wzdychał, wylatywał wzrokiem ku zachodowi i myślał, dokąd to już doleciały te cudne ptaki...

Czasami sływało na nich bezgraniczne, lodowate zubożenie na wszystko. Odchodzili od siebie na białe krańce świata, na krawędź niebytu. Zdawało im się, że kroczy ku nim powoli srebrna Śmierć, i spojierali na nią bez lęku, bez wzruszenia — jakby na kryształową, boską wybawczynię.

W takim nastroju pewnego razu Mariano i Zappi legli wśród poszarpanych lodowców tuż obok siebie, niby dwa docna wyczerpane ogary, obaj tak osłabieni, że z wysiłkiem tylko zdobywali się na słowo. Zamarli w bezruchu, zagaśli cichuteńko, zatopili się w nicość.

Kocem przykryci na głowę, nie chcieli już nic widzieć ani wiedzieć. I Mariano wyszeptał w senliwym ukojeniu:

— Umieramy...

A po chwili przywstąpił mu szept:

— Umieramy...

Kończyło się wszystko, przekłeta puszcza i — życie. Nie było to ani źle, ani dobrze; było coś tak nic nieznaczącego, jak koniec iskierki, przez nikogo niezauważonej we wszechświecie.

Pokryło ich — dwóch straceńców, cierpieniem strawionych, z głębin tego cierpienia wypływające, od Boga zesłane ukojenie...

Malmgren zaś sterczał o kilka metrów nad nimi. Uczepiwszy się zębów skały, zwrócił się ku zachodowi i patrzył. Zaobserwował, że lodowce malały, zamieniały się w kopulaste pagórki i przypominały fale spokojniejszych wód. Nie była to już spleciona, szochrana, dzika puszcza, zawalona tysiącem niespodzianek, olbrzymie rumowisko obalonych gór lodowych. Pomiędzy stożkami wzgórz widniały rozłogi szklisto-białe, a na nich spoczywały miliony różnych brył, w śnieżne mchy obwiniętych.

A zatem zbliżyli się do krańców szerokiego zbiorowiska lodowców, wmarzłego między dwie kry.

Zahaczając siekierę o wyrastające ze skały zęby lub wbijając ją w granitową ścianę lodową, niezłomny podróżnik wciągał się jak najwyżej i wpatrywał w dal. Z wyężeniem przeszywał wzrokiem roztocze odbłasków, pytając się, azali na krańcach zachodu nie dojrzy czego, coby sygnalizowało mu ład — ów upragniony Przylądek Północny. Wyobrażał go sobie w kleszczach olbrzymich, stłoczonych lodowców i luźnych, skalistych wysp.

W przeczystem powietrzu wzrok ostrowidza sięgał w milowe przestrzenie. A jednak Malmgren nie ujrzał ani śladu Przylądka. Bo też przecie od ładu byli jeszcze oddaleni całe osmdziesiąt kilometrów.

Aby się dostać z namiotu do tego punktu, spotrzebowali dwadzieścia i jeden dni czasu i niemal wszystkie zapasy żywności.



Zastanawiając się nad tem, czy starczy mu sił, by o głodzie przeżyć dzielącą go od Przylądka przestrzeń, Malmgren musiał odpowiedzieć sobie z przejęciem: nie!

W ciągu tej bohaterskiej wędrówki głód najmniej im dotąd dokuczał. Z głodem bowiem oswaja się organizm, odzwyczajają się od strawy i przestaje za nią tęsknić. Wtedy duch jego nabiera czegoś z nadziemskiej lotności i rozpiętości tęczy; jednakże słabnie, rozwiewa się i popada w stan, jakiemu podlegali dwaj tułacze włoscy. Słabnie wraz z mdlejącym ciałem, układa się do snu podniebnych warstw powietrznych.

Z dawnego Malmgrena pozostały szczątki, gdyż w czasie tej gehenny jadał nie więcej nad 200 gramów dziennie, a pracował siekierą za dwóch. Rozumiał przeto, że zginie i zginą wszyscy trzej, jeśli nie wyciągnie się do nich ręka ratunku.

Ogromnie wyczerpany i zacięty, siedział wysoko na wyrastającym z tułowia skały rogu niby na gałęzi. Skutkiem głodu, nieustannie szumiało mu w uszach i miał wrażenie, że oczy zachodzą mu mgłą.

Czyliż się mylił?... Na podniebiu zachodniem czerniła się drobna, rozplaszczona plamka... Czyżby to miał być... latawiec?

Podniosła się w nim czujność i streścił się w żrenicach, zawisł duchem na owym punkciku, który powiększał się, zbliżał...

Nieba!... Zakipiała w piersi radość triumfalna. Bo leciał w ich stronę zwiastun ratunku. Jeśli jednak lotnicy mieli ich dostrzec, należało wydostać się z piekła spiętrzonych lodowców na nagą taflę i to co tchu.

Więc Malmgren szybko położył się brzuchem na odnodze lodowej, i zahaczywszy o nią siekierą, opuścił się, zawisł wzdłuż stromej, chropawej ściany, przylgnął do niej piersią i szukał stopami odrostka lodowego, który posłużył mu poprzednio za próg na wyżynę.

Lecz wtem siekiera ześlizgnęła się po wyswiechtanej przezeń części rogu i Malmgren spadł kilka metrów, grzmotnął całym ciężarem na szpice pędów lodowych, rzeźbionych u podnóża góry a podobnych do zlodowaciałych krzewów jałowcowych. Załamały się pod nim kryształowe igły i lance i zasypały szklistymi skorupami zawieszzonego wśród gęstwiny szochranych pędów.

Nie wyszedł z tego bez szwanku. Gdy towarzysze, łoskotem zaalarmowani, przyskoczyli do niego, nie mógł przemówić słowa. Przeszywał go ból dojmujący. Złamał sobie obojczyk i zwichnął nogę. A z zadrażnionego lekko czoła sączyła się krew. Wygramoliwszy się z tego kryształowego gaju, poblądł i zdało się, że zemdleje. Wreszcie dobył głosu.

— Latawiec... Ujrzałem latawiec... Leci ku nam od zachodu... — oznajmił najpierw towarzyszom, a potem, oddychając ciężko, bełkotał: — Zappi, mocne masz łapy... Narychtuj mi lewą stopę w stawy! Żywol

Siadł i poddał się szybkiej operacji z zaciśniętymi zębami, zaczem zakomenderował:

— Teraz żwawo w drogę! Puszczaj się kończy, wkrótce wyjdziemy na równinę.

Ruszyli bez zwłoki. Łykając ból, jaki czuł po lewej stronie karku, Malmgren wyraził zdanie, że ów



latawiec musiał wzbić się nie z pokładu „Braganzy”, lecz jakiegoś innego okrętu, bliżej się znajdującego, o którego istnieniu nie wiedzieli. Jeśli się nie myli, można z tego wnioskować, że istotnie Europa rzuciła się sprężyć na ich ratunek, i zaczerpnąć z tego ogromny haust nadziei.

Jeszcze musieli obchodzić olbrzymie bloki, omijając zwały, przełazić przez grzebień drobnych lodowców, nim nareszcie, nareszcie wyszli przez rozłożysty wąwóz na płaszczynę.

Napróżno szukali wzrokiem latawca. A czekali wybawienia, jak Żydzi manny na pustyni, spoczywając na ośnieżonych bryłach lodowych, rozrzuconych dokoła.

— Malmgrenie, może to było przywidzenie, miraż?... — powątpiewał Mariano.

Lecz nie. Na tle lazurów pojawił się nisko latawiec, szybujący od wschodu ku zachodowi. Niestety, płynął w znacznej od nich odległości. Choć zatem wskoczyli na głazy, a Mariano wywijał czerwoną chustą i Zappi palną z rewolweru, aeroplan nie dojrzał snadź nikłych punktów wśród rozsypiska kulistych brył i pojechał swoją drogą.

Spatrolowawszy okolicę, na której teraz się znajdowali, przeleciał nad górami lodowymi i okrężną linią powracał na pokład swego okrętu.\*)

\* Był to lotnik Czuchnowski, Polak, rodem z Wilna, który z pokładu rosyjskiego łamacza lodów „Krasina” podejmował wśród arcytrudnych warunków loty w poszukiwaniu „grupy Viglieri’ego” (tak nazywano rozbitków przy Czerwonym namiocie

Ale wizja tego ptaka ozłociła im znękanie dusze i poczęli raźniej powłóczyć nogami. Nie dziś, to jutro...

Nagle Malmgren przystanął. Towarzysze jego sądzili, że opuszczają go siły. Istotnie, przez cały ten marsz ból żarł go nielitościwie. Rzemienie tłumoka musiał przenieść na prawą stronę i obarczyć ją całym ciężarem. Tak w nieustannej męce włókt się w zdradliwej, rozpadliny pokrywającej mazi, niby stary chabet, co lada chwila potknie się i padnie.

Atoli nie słabość powstrzymała go w tej chwili. Spozierał ku północy z głębokim, frasośliwym zastanowieniem. Na zoranej cierpieniem twarzy pojawiła się chmura.

— Co? Co ci się stało? — zarzucili go pytaniami towarzysze.

Ale on nie odpowiadał. Zwiesił głowę, jak zabity na duchu skazaniec. Wreszcie zwrócił do nich twarz i wymamrotał posępnie:

— Nadchodzi burza... idzie od bieguna orkan...

— Jezus, Marja!... — wyjąkał Zappi.

od czasu, gdy lotnik Lundborg zabrał z sobą Nobilego). Później, 10 lipca, spostrzegł on grupę Malmgrena i sfotografował ją, lecz nie mógł lądować. Przyczynił się w znakomitym stopniu do uratowania dwu towarzyszy Malmgrena i wogóle zachował się w sposób rycerski. W poszukiwaniach tych bowiem znajdował się nieraz sam w niebezpieczeństwie życia. Gdy pewnego razu lądował, a podwozie latawca uległo zniszczeniu i sam osiadł na lodach, mówił do „Krasina” przez radio: „Mamy żywności na 2 tygodnie. Trzeba koniecznie, by „Krasin” jak najprędzej niósł pomoc Malmgrenowi, nim zatroszczy się o nas”.



— Skąd ty to wiesz?! — zawołał nad wyraz przerażony Mariano.

Malmgren zwrócił ich uwagę na to, że chociaż jeszcze noc była daleko, mróz się wzmagał, ścinał śniegi, a lodowaty podmuch wiatru parł na nich od północy. Doświadczony meteorolog objaśnił im krótko pewne właściwości aury arktycznej i zawołał do bezradnych towarzyszy:

— Niema chwili do stracenia! Musimy wykuć sobie w lodzie głębokie schronisko...

Rąbnął siekierą w lód tam, gdzie stał. A oni natychmiast poszli za jego przykładem. Walili w granitowy spód śniegów, aż pot kapał z pod ich futrzanych czapek, i tak wykuwali sobie doły dość głębokie, by mogli ukryć się w nich całkowicie w stojącej postawie. W znoonej tej pracy przepadał strach.

Tymczasem zaciemniło się na świecie, a wkrótce cichuteńki poszum i poświst doleciał z oddali.

Malmgren krzyknął, kazał wskoczyć w zimne wykopy i sam znikł z powierzchni, gdy świst przenikliwy, wzrastający co sekunda, rozwinął się w ogłuszający ryk surm piekielnych.

Poczęły dziać się rzeczy niesamowite, tragiczne.

Nad głowami straceńców zahuczał, zawył orkan z mrozem w zanadrzu a trąbami i piszczałkami szatanów w paszczy. Gnał z błyskawiczną szybkością i zmiatał pustynne równiny. A jeśli potrafił on rozzerzeć, stargać „Italję” niby wiecheć, byłby niechybnie porwał te trzy źdźbła ludzkie, poniósł mila-

mi wśród bezmiarów próchna białego, wśród nieprzebranej zamieci gdzieś hen — w otchłań zagłady.

Nieprzerwany huk tysiąca armat wtórzył rozpasanej furji żywiołu — huk, idący od gór, gdzie huragan, zdzierając z łbów lodowych kaptury, bryły i całe głazy, ciskał je niby piłki daleko. Snadź lodowisko górzyste, gniewem porwane, ścigało tych, co odważyli się i zdołali je przebyć, chciało ukamienować ich pociskami Cyklopów.

Nie mogły one ich dosięgnąć. Atoli runęło na nich stokroć większe, największe niebezpieczeństwo.

Stał się mrok od tumanu szronów, zdartych ze śniegów. Mgławica dzika, pełna grup śnieżnych i lodowych, waliła na nich lawiną. Groziła im lada chwila zasypaniem, gotowała im grób i całun nieoczekiwany. Mirjady puchów i szkliwia zwały się w gęste siatki, w ściany, w mury i z huraganu szybkością leciały, niby nieprzebrane szeregi uskrzydłonych duchów wojackich, ilością niosąc śmierć wszystkiemu.

W tej jeździe wikingów, w tej muzyce Wotanów i Walkiryj, w trąbach świszczących i huku bębnów wyładowywał się srogi, imperatorski gniew bieguna na tych śmiałków, wyładowywały się krzyki grzeszników, dręczonych po wieki w piekle. Wszystkie armje szatanów rzucały się tak na globu kresy i rozgrywała się scena najwyższej grozy.

Tragiczne położenie straceńców, doszło do zenitu.

W tej chwili ostatniej wszakże, w tym dramacie o tyle przewspaniałym, o ile nieporównanie straszniejszym, człowiek, w duchu zbiorowym potężny, zerwał się do



boju w poczuciu swej godności. Z piersi tych, co przeszli przez niejedną gehennę, wystrzeliły iskry nieprzeczuwanej mocy. I podjęli z hordami zachłannej zamieci walkę heroiczną, ostatnią, na śmierć.

Dobytając resztek sił, siekali z głębi kryjówek w nacierające płachty lodowo-śnieżne, wywijali siekierami jakby maczugami, rozwalali stosy białe, tworzące się na tłumokach, które sterczały przed ich głowami. Z zaciśniętych kurczowo warg rwał się skowyt katowanych psów, w piersiach grało konających charczenie, gdy w twarze ich rąbały raz wraz odpryski lodów i oblepiały je śnieg ostry. Jak żołnierze w rowach strzeleckich, bronili się każdego nerwu wysiłkiem przed najazdem hordy biegunowej, jakby szło już nie o ich życie, lecz o honor Człowieka.

Aliści ulegali... W tragicznym napięciu takiej walki złamałaby się stal. I tak nawiedzał ich zamęt ducha i bezwład ramion, zbliżał się koniec.

Świat cały ginął, roztratowany przez ryczące hufce piekieł, glob cały przepadał na wieki we wszechmocy i wszechistnieniu białości.

A Człowiek padał na twarz przed majestatem bieguny...

## VIII.

### ZEMSTA BIEGUNA.

Gdy otworzyli omdlałe oczy, znaleźli się po szyję w śniegach.

Orkan odleciał na stu koniach. Otaczała ich błogosławiona cisza i kładła na znękane dusze matczyną dłoń ukojenia.

Wydobyli się odruchowo z uwięzi zasypanych wykopów, lecz tak byli śmiertelnie wyczerpani, że lada jak otrząsnąwszy z siebie białe puchy i wyżłobwszy sobie w dołach legowiska, padli w nie bez ducha, jak kłody.

Niedawno zdawało się kapitanowi Mariano, że umiera, teraz miał uczucie, że już umarł, odpłynął poza ramy życia.

Niel... Przecież on przed chwilą wylądował w Livorno! Ot, na pobrzeżu śmieją się doń twarze znajomych. Jaką miłą zgotowali mu niespodziankę, wychodząc hurmem na jego powitanie! Jowjalny Giacomo występuje już na wstępie z dobrym żartem! Ach, nieoceniony z niego koleżka! A z boku Gabrijela strzela ciepłem, uwodnym spojrzeniem. Nie zapomniała o tem, co było, i raduje się tem, co będzie. Wtem Vincenzo podnosi w górę pękate „fiasco“ i cała rozkołysana czeladka prowadzi go do pobliskiej osterji, do której zaprasza muzyka. Skrzypki jakieś podchmielone rzępolą zawzięcie, od ucha... Cyt! Ktoś nuci „canzonette“ neapolitańską... Ciepło wina rozlewa się po żyłach z upojnej muzyki strumieniami... Wesoło, cudnie na świecie, jak to w maju życia, i z piersi rwie się hulaszczce: Evviva la vita!

Cóż to?! Śniegi, pustka...

Okropna rzeczywistość rzuca się w rozwarte oczy rozbitka.



Mariano jęczy i opada w śniegi. Już się z nich nie podniesie, nie dźwignie się do najmniejszej czynności. Wyczerpała się studnia sił do ostatniej kropli. Koniec. Niech będzie, co być ma, chociażby śmierć. Potrzeba mu spoczynku. Wieków spoczynku... A gdyby pojawił się latawiec?...

Myśl ta, niby prąd ożywczy, podnosi wędrowców na nogi. Patrzą na siebie, niby mary na cementarysku.

— Jeszcze kilka minut tego huraganu, a porzebałyby nas śniegi i wnet wichry rozniosłyby nasze kości—mówi Zappi, szukając w tłumoku ostatka żywności.

Jedynie Malmgren zaoszczędził coś niecoś w blaszanym skarbcu. Dzieli się z nimi „wieczera“, wlewa im w usta po naparstku wódki. A syczy z bólu. Oczywiście, nie szanował chorego ramienia, zapomniał o złamanym obojczyku, i to się mści. Jakby umarły fizycznie, zapada się w siebie niby w grób.

— Sprzysięgły się na nas wszystkie biegunowe moce...—wzdycha Mariano, a Malmgren czyni uwagę:

— Widzieliśmy koniec świata...

I zanika w oczach, ślania się na śniegi. Teraz towarzysze jemu wsączają w usta trochę rozgrzewającego płynu.

Noc nadchodzi. Niema poco ruszać się z miejsca, bo oni nie wędrują już do Przylądka Północnego, lecz raczej wybierają się naprzeciw owego latawca, który przed świtem nie wyleci na wywiad.

Więc dopiero rano podejmują marsz. Rzekłbyś—karawaniarze, idący za swym własnym pogrze-

bem. Pospuszczali głowy, powłóczą nogami jak ochwalone szkapy. Raz wraz zatrzymuje ich zmęczenie.

Mariano spostrzega ze zdziwieniem, jak mu gorąco w nogę, bo nie wie, że odmroził ją sobie w wykopie. Nie dokucza mu to, jednakże głód ściska wnętrzności, soki żołądkowe napływają do ust, organizm krzyczy, wyje żałośnie o pokarm. W uszach brzęczą mu chmary moskitów, w oczach ćmi się chwilami, a umysł błąka się po szerokim świecie, chwytając się wspomnień, obrazów wskrzeszonych w duszy, nurza się w rojeniach i lepi mamidła.

Z wieczora rozpościerają swe wyssane, skórą powleczone cielska na białej równinie. I wtedy Malmgren, zwykle milczący grobowo, wpada w paroksyzm gadatliwości. Żrenice jego jarzą się, trawi go gorączka od głodu i wewnętrznej rany. Targa go ból, ale bełkoce:

— Pamiętacie ten dzień zielony, gdy „Italja“, szybując nad Szwecją, przepływała nisko nad mem rodzinnem Halum? Opuściła się nad białym, ukwieconym domkiem mej matki tak, jakby pragnęła go pocałować w przelocie, musnąć pieściewie skrzydłem. A matka moja i narzeczone (uprzedzone, one oczekiwały „Italji“ z dnia na dzień) stały przed domkiem w wirydarzu barwnym i patrzyły na nas jakby na niewdzięczne zórawie, odlatujące do wyraju. Żegnały mnie te dwie najdroższe istoty... Pamiętacie, zrzuciłem wtedy mej matce list. List pełen nadziei i wiary, pełen tkliwych słów dla mej Szarlotty, tej duszy siostrzanej... One przeczuwały... Widzę je obie, jak powiewają białymi chusteczkami długo, długo...



Umilkł i po chwili westchnął:

— Matka, moja matka... Śni mi się często, ona i Szarlota. Ja czuję, że istoty ich są ze mną... I wiem, że w sercach ich żyć nie przestanę. A czyż to nie dosyć mieć dwa takie serca kryształowe?...

Pewnego dnia, gdy bliski maligny Malmgren myślał głośno i jakby przez sen spowiadał się przed towarzyszami z muzyki swego serca, pojawił się duży aeroplan na dość znacznej wysokości i przykuł ich oczy do siebie.

Czy ich dojrzy? Czy odważy się lądować na tym terenie?

Widać lotnik badał płaszczyznę, bo statek zniżył lot.

— Nie włoski — zauważył zdziwiony Zappi.

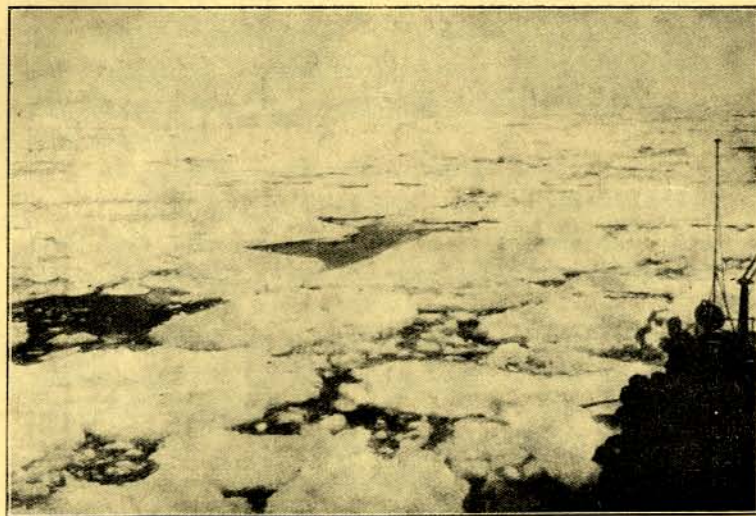
Nie mogli wiedzieć, że był to latawiec z pokładu „Krasina“, ani domyślić się, że pilot, którym był Czuchnowski, sfotografował trzy ich postacie w tej chwili. Snadź nie mógł jednak lądować, gdyż puścił się zpowrotem, popędził niby po torze kolejowym, może chcąc szybko donieść o swem odkryciu ludziom na łamaczu lodów.

Tak interpretowali jego manewr tułacze. I znów iskrą nadziei ożywieni, powlekli się w stronę, gdzie na skłonie kopuły niebieskiej lśniły się srebrne kontury górzystych wysp lodowych — Przylądek.

Uśmiechnęły się mirażowe wybawienia: do nich pielgrzymowali, jak pątnicy przez mór i katusze wyaniełeni, jak duchy z pól Elizejskich w sromotę białą zbłąkane.



Profesor Fr. Běhounek.



Wędrowne pola lodowe.



Dokoła bielita się szachownica popękanych rozłogów. Nie zapierały im na niej drogi rozlewy i jeziora, jakie musieli okrążyć w pierwszych dniach swej gehenny, natomiast powstrzymywały ich mnogie rozpadliny i rowy, pełne wody, na których spały roje odłamów lodowych.

Człapali przez te laguny, mokradła, aż utknęli na brzegu kanału jakie dwa metry szerokiego. Takiej przeszkody nie napotkali jeszcze. Jakby z obowiązku, włączyli się wzdłuż tej rozpadliny. Wiła się ona, może milami, wężowo przez gładką, olbrzymią krę. Nie widząc jej kresu, poszukiwali węższego brzegu i płytkiego brodu.

Malmgren zapuścił w głąb siekierę, sondował dno kanału, potem wlaź w koryto i, trzymając za rękę Zappi'ego, posuwał się dalej. W środku znalazł głęboki rys, lecz za nim znów miał grunt lodowy pod stopami.

— Ja was przeniosę! — ozwał się.

Nie bez skrupułu poddali się dwaj Włosi nakazowi jego koleżeńskości. Wziął na barana jednego, z kolei drugiego i, brodząc powyżej kolan w zimnej wodzie, postawił ich na płycie lodu.

Przemoczony, skostniały, drżący, siadł i jał zdejmować bawole, podkute buty oraz wyborne pludry reniferowe, mówiąc:

— Weźcie to sobie, przytroczcie do tobołów! Wyschnie to i bardzo się przyda jeszcze... A ta kamizela, futrem podbita, służyć może zaraz nie mniej, niż moja krótka dacha.



Zdejmował z siebie całe wierzchnie ubranie.

— Koszulsko to na nic — mrucał. — Poprosto zgnie. Tyle, że nie załęgło się w niem robactwo. Precz z tem!

Odrzucił zdarty szmat, a oni wielkimi oczami patrzyli na całkiem obnażonego towarzysza. Czy nie postradał on zmysłów?

— W tłumoku mym znajdziecie niespodziankę—całe sześćset gramów jada i kieliszek gorzałki. A teraz...

Z widocznym wysiłkiem mięśni podniósł się na nogi drżące febrycznie i sięgnął do kieszeni spodni.

— Oto moja busola. Proszę, abyście wręczyli ją mej matce w Halum. Powiecie jej, że busola ta wskazywała nam, tułaczom, właściwy kierunek na tej pustyni, a... że w duszy mej miałem od niej, od matki, inną busolę, która prowadziła mnie zawsze drogą obowiązku i honoru... przez zimną pustynię życia... To jej powiecie, mej matce w białym domku lubym, w Halum... Tam...

Drżącymi palcami przejechał po czole, zrzucił z głowy futrzaną czapkę, położył dłoń na ciemieniu. Był w gorączce, z przemglonych oczu bił żar.

— A ten pierścień...

Szarpnął palec, by ściągnąć z niego gruby złoty pierścień pamiątkowy od Amundsena. Lecz nie dało się to zrobić skutkiem opuchlizny.

— Przynależem to mej drogiej Szarlocie na pamiątkę... Skoro później odnajdziecie tutaj me zwłoki, odetniecie ten palec, zdejmiecie z niego ten pierścień symboliczny i doręczycie mej narzeczonej... To dla

niej... Zamiast obrączki ślubnej... Dla Szarloty, zwierciadła mej duszy... Dla tej dziewczyny białej, co od chłopcica godziła mnie z ludzi nikczemnością... Dla Szarloty w Halum. Tam... Pamiętacie ten biały domek wśród zieleni?... Tam, daleko...

Oni, urzeczeni mistycznym czarem potężnej jego osobowości, nie zdobyli się dotąd na słowa. Struchleli, kiedy, jakby przypominając sobie o ich osobach, objął ich gorejącym, obłądnym wzrokiem i rzekł:

— Idźcie i ratujcie się!...

— Towarzyszu!... — wyrwał się słaby, łzawy protest.

Usiłovali odziać go w kubałak, gdy począł rąbać siekierą w granitowe podłoże śniegów, by wykuć sobie w nim mogiłę. Próbowali odwieść go od tego. Lecz czyż on słyszał ich słowa? Przebywał duchem zgoła gdzieindziej.

— Idźcie!—przerwał im i zwrócił twarz natchnioną, ascetyczną ku zachodowi.—Idźcie po ratunek dla siebie i braci... Tam na was czeka statek... Zajdziecie... Zajdziecie!

Wychudzone, rdzawo-sine ciało zachwiało się, opuścił się w płytkie, szerokie koryto lodowe i wsparty na łokciu mówił jeszcze:

— Kończy się moja wędrówka. Pozdrowcie moje dwie drogie istoty i pozdrowcie ode mnie Szwecję... Powiecie jej, jak skończył jej syn, Malmgren... Powiecie, że tu się położył i umarł... \*).

\*) Autentyczne słowa.



Opadł głową na twarde, kamienne postanie.

A towarzysze jego stali bez ruchu, z obwisłymi ramionami i głowami, w obliczu białej śmierci i zdało się im, że on już zgaś.

„Idźcie” — przykazał im. Taka była ostatnia jego wola, a nikt nie byłby mocen skruszyć i oprzeć się woli tego głową niebios sięgającego męża, co wśród majestatycznej ciszy zadumanej przyrody polarnej ustał się w sarkofag z kryształów.

Mieli go porzucić? Tego towarzysza, wodza i brata, ideał przerastającego, którego duch mocarny panować się zdawał nawet nad bieguna strasznym majestatem? Coś ich krępowało, przykuwało do miejsca, do tej wyciągniętej sztywno postaci, do tej twarzy męczeńskiej, do tych oczu zapadłych.

To był Malmgren... Tam się położył i tak umierał...

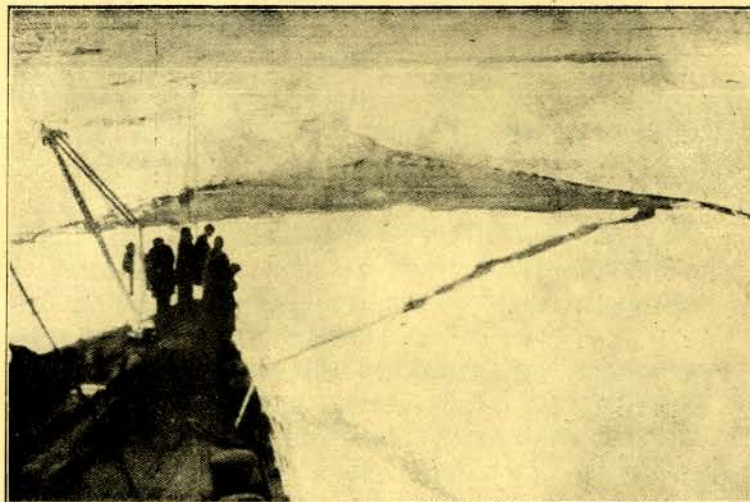
Jeszcze przez chwilę, zastłuchani w milczenie śmierci, kołysali się na fali wahania, wreszcie wyciągnęli do niego ręce.

— Żegnaj!... — słowa uwięzły w ich piersiach.

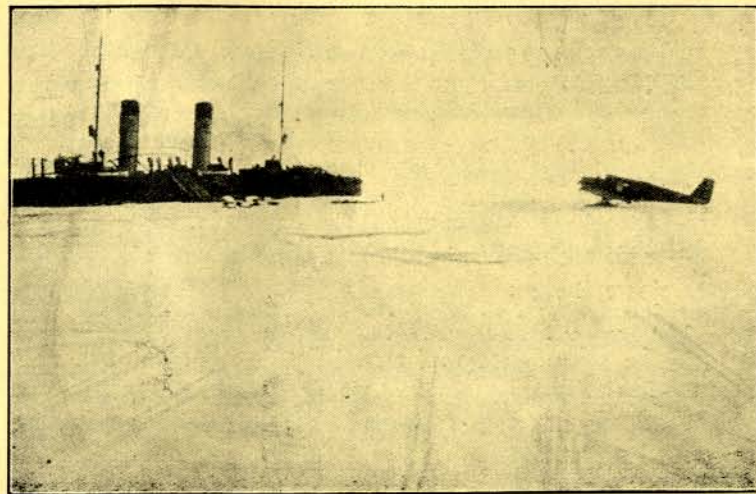
— Żegnajcie!... — szepnął umierający, a nigdy te dźwięki słabe nie zawierały w sobie więcej treści.

Poszli. Zadymka przelotna zerwała się przed nimi, zasłoniła panoramę, więc poczęli błędzić, krążyć, i w godzinę czy dwie, jakby towarzysząca im wizja, czy też surowy głos wewnętrzny przywiodły były ich tam zpowrotem, natrafili na rozwartą grób przyjaciela...

On uniósł głowę. Myślał, że oni wrócili, by mu zamknąć oczy.



Łamacz lodów „Krasin” przy robocie.



Czuchnowski odlatuje z „Krasina”.



— Idźcie! I pamiętajcie o tych w czerwonym namiocie!

Na pożegnanie kiwnął im ręką i patrzył na nich jako na oddalające się życie.

A oni podnieśli w górę prawice, salutowali wo-  
dza, co wyłonił się z poświęcenia i heroizmu, pokryli  
go żalosnem spojrzeniem i w pogrzebowem milczeniu  
zwrócili się na zachód krokiem żołnierzy napoleoń-  
skich, wracających z Moskwy.

Wędrowali, bo czuli, że muszą tak wędrować  
gdzieś, chociażby przez wieki. A że zamieć przy-  
słoniła tułaczom czarowny cel — srebrzyste szczyty  
lodowców, myśleli, że w końcu tej drogi, jakby do  
piekieł wiodącej, dobiją istotnie do bram samego  
piekła, z napisem: Lasciate ogni speranza \*).

I znów duch ich upadł. Spoczęli i dzielili się  
ofiarowaną im przez Malmgrena żywnością ostatnią.

---

\*) Obadwaj, dzięki wywiadam i zabiegom Czuchnowskiego,  
dostali się na pokład „Krasina“, Zappi o tyle jeszcze przy siłach,  
że sam wszedł na pokład okrętu. Mariana zaś trzeba było wnieść  
na noszach. Zastano go napół leżącego w kotlinie lodów. Nogi  
miał od kolan do przegubia gołe, a na stopach tylko skarpetki.  
Spoczywał na kawałku przemoczonej wełny. Miał jedynie krótką  
skórzaną koszulę i krótkie brunatne spodnie. Chudy był jak  
szkielet. Skutkiem odziębienia nogi, musiał się poddać amputacji  
i wiele miesięcy leżał w szpitalu.

Na Zappiego padło podejrzenie, że zjadł zwłoki Malmgrena  
i zmusił swego rodaka do milczenia. Przypuszczenie to wszakże  
nie znalazło ani podstaw, ani wiary. Natomiast z ogólnem po-  
jęciem spotkał się fakt, że Zappi i Mariano pozostawili Malm-  
grena samego umierającego na lodach.



A Mariano myślał, że ludzie uczą się przez całe życie żyć, zamiast uczyć się umierać. Gdyby zaś umieli umierać, jakież piękne byłoby ich życie!

Malmgren został sam—nagi na lodach, jak Prometeusz, rozpięty na skałach. Sam, heroiczny wojownik z pod znaku ludzkości, w nieporównanym blasku tytanicznej siły i wielkości... Sam oko w oko ze Śmiercią.

Wybiegł okiem raz jeszcze w olśniewającą otocz blasków, w przestwory białego stepu i, jak równy równemu, słał ostatnie pożegnanie pokonanemu biegunowi—z odcieniem błogiej świadomości, że zamyka księgę żywota u szczytu ziszczonych snów młodości.

Skąpał się w brylantowej miłości matki swej i narzeczonej, ludzie nic więcej dać mu nie mogli. A że misję swą życiową spełnił, mógł odejść i spocząć...

Wkońcu zrobił odkrycie. Tam, na krańcu osi naszego globu, wznosił się tron Śmierci. Dlatego to przyroda postawiła najsilniejsze swe strażę u wrót tej świątyni, broniąc śmiertelnym przystępu przed okrutny majestat monarchini, w której spojrzeniu zamieniało się wszystko w lód.

Dokoła gasnącego żeglarza polarnego było Nic, albo raczej — Bóg, wyrażający się skończeniem w Śmierci, która, spozierając z lodowatych wyżyn na igraszki bujnego życia, kruszy je, miażdży, ściąga w rozkład, wchłania w nicość, w siebie.

Malmgren służył ludzkości, oddał bliźnim swą wiedzę, swe siły, ofiarował im strawę, odzienie,

wszystko, lecz siebie samego złożył z pokorą baranka niebieskiego u stóp Boga—Śmierci.

I tak kostniał w lodowym jej uścisku.

Raptem szarpnął się w swej trumnie, uderzył o nią rozpaloną głową i jął bełkotać:

— Przebacz mi, Szarloto, zem nie był z rodu płazów... Przebacz mi, matko, zem z ziarna twych wskazań wyhodował myśl tak górną, bluźnierczą... Przebaczcie mi, że więcej nad was umiowałem walkę z Niedostępionem... Pragnąłem rozmawiać z Bogiem...

Majaczenia skłębione wrywały się na wargi. Ujrzał się w rodzinnym swem Halum i w sekundzie przeżył tam coś z maju swego życia, które nagle rozwinęło się przed nim w błyskawiczną tęczę i gąsto.

Kamieniał od nóg, mróz wnikał w niego miljonem ssawek, brał go na własność, czołgał się po jego członkach wyżej i wyżej ku sercu. Aż nadleciał oddech bieguna, triumfującego nad jego ciałem, i mściwym tchnieniem zamknął powieki człowieka, który zakrólował nad nim duchem — rycerza nad rycerzami, który nie dał się złamać Śmierci.

Więc z piedestału bieguna zstąpiła niebotyczna, w cuda kryształowych lśnień strojna Śmierć, a poszum wiatru rozniósł na wsze strony świata jej rozgłośny szept archanielski:

— Ecce homo!



## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Farewell . . . . .	3
II. W Zatoce Królewskiej . . . . .	13
III. Wielki lot i katastrofa . . . . .	21
IV. Polowanie na niedźwiedzia . . . . .	34
V. Trzech śmiałków opuszcza czerwony namiot . . . . .	43
VI. Na lodowej pustyni . . . . .	55
VII. Umieramy... . . . .	66
VIII. Zemsta Bieguna. . . . .	76